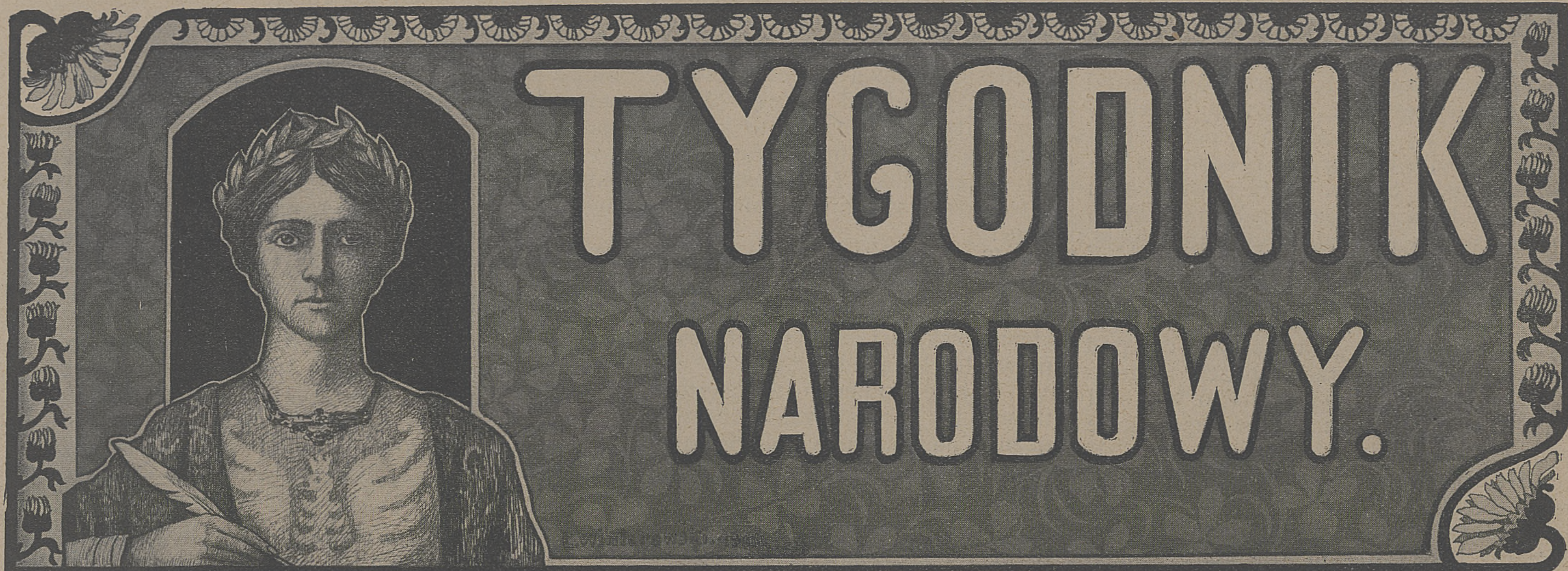
Rok 1900. Lwów, 7. października Nr 52.



Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * **Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Klonowicza l. 3.**

TEATR MIEJSKI WE LWOWIE.

Sztuce narodowej.

Winą spaczonych kierunków sztuki dramatycznej jest fakt, że dzisiaj niejednokrotnie dają się słyszeć głosy, pełne surowej krytyki dla teatru, jako czynnika cywilizacyjnego. Sceny, która rówieśnikom Ajschilosa była niezbędną instytucyą życia obywatelskiego i szkołą prywatnego życia, — sceny tej w naszych czasach bezsprzecznie poczęto niejednokrotnie nadużywać dla prostej spekulacyi, dla wyzysku brudnych namiętności, dla celów, co pod płaszczem sztuki szerzą zepsucie i zgniliznę. Stąd zdania podzielone o wartości teatru, stąd krytyka, z jaką się częstokroć spotkać można.

Ale nadużycie nie dowodzi jeszcze zła instytucyi samej. Teatr pozostał zawsze dla społeczeństw cywilizowanych tem, czem był dla Greków i Rzymian: świątynią sztuki, szkołą życia i obyczajów, szlachetną wreszcie rozrywką umysłu, spragnionego wytchnienia w świecie ideałów. I stąd, gdzie społeczeństwo stanęło na pewnym stopniu kultury, obok kościoła i szkoły, stać powinna i staje świątynia sztuki dramatycznej, jako potężna dźwignia umysłowości ludzkiej. Taką świątynię, wielką i wspaniałą, otwarto we czwartek w stolicy Rusi Czerwonej, jako podwalinę nowej epoki kulturnego rozwoju społeczeństwa.

Już z tego stanowiska, ogólno-cywilizacyjnego, otwarcie nowego teatru we Lwowie byłoby wypadkiem pierwszorzędnego znaczenia nie tylko dla miasta samego, ale dla całego kraju dla całego społeczeństwa: uroczystość to była przedewszystkiem tryumfu wzrastającej oświaty, postępu cywilizacyi, duchowego rozwoju w narodzie.

Ale poza ogólno ludzkiem znamieniem sztuka ma jeszcze szczegółowe cele i zadania, zakreślone potrzebami ludów, wśród których i dla których się rozwija. Tem ona różni się od znamion kultu religijnego, że mieści w sobie zarazem cechę narodową, która jej nadaje barwę, a często kierunek. Pieśń jest kwiatem uczuć człowieczych, ale najmilszym każdemu kwiatem jest nuta swojskiej piosenki. Sztuka narodowa — to więcej, to zwierciadło ojczyzny i zadatek jej przyszłości.

Dla nas, dla których, w dzisiejszych stosunkach, cel narodowy jest pierwszem przykazaniem pracy wszelakiej, sztuka dla sztuki samej nie wystarcza, jak narodom innym, byt samoistny posiadającym. I nie wystarczałaby nam nowa scena lwowskiego teatru, jeżeliby jej brakło tego właśnie znamienia sceny n a r o d o w e j. Otwarcie przybytku sztuki byłoby aktem cywilizacyi, ale otwarcie p o l s k i e g o t e a t r u jest nadto jeszcze świadectwem pracy artystycznej, pracy nad odrodzeniem narodu, jest żywotności naszej widomym znakiem.

I tu właśnie słuszna przyczyna tego zapału, tej radości powszechnej, jaką w narodzie całym obudziła uroczystość lwowska 4. października 1900. Kraków i Warszawa, Wiekopolska i Litwa, kresy zachodnie i wschodnie współczuły w dniu tym wraz ze Lwowem i slały delegatów, iżby w nowej świątyni sztuki złożyli hołd narodowej myśli. Udział Czechów również nie inaczej się tłumaczy, zresztą sami oni wypowiedzieli jasno a dobitnie w adresie pragskiej Rady miejskiej do Reprezentacyi miasta Lwowa.

Toż wielkie było to święto. Na południowo-wschodnich krańcach Rzeczypospolitej, gdzie przez wieki całości i wolności narodu strzegł oręż polski, — obecnie wzniesiono nową strażnicę polskiego słowa i uczuć ojczystych. Czego złamany miecz nie zdołał już ocalić, to zdobywa naród nanowo potęgą ducha, zamierzającego do tej samej całości i wolności, potęgą, która z tej nowej strażnicy swoim i obcym woła: Żyję!

Ten okrzyk, niewygłoszony przez usta czyjekolwiek, słyszały jednak w dniu uroczystości dusze wszystkich obywateli ziem polskich i zrozumiałem jest, iż drżały niewysłowioną radością.

Tak pojmujemy uroczystość czwartkową, tak ją pojmowali uczestnicy, których uczucia najlepiej niewątpliwie wyraził jeden z mowców, Aur. Urbański, gdy z zapałem wyrzekł:

Trzykroć Ubita, na której całunie
Potworną pieczęć wyciśnięto śmierci,
Ta nieśmiertelna,
Bladą, lecz żywą wciąż wychyla twarz.
Trzykroć Grzebana, wciąż odwala głaz,
I zadumane pytają narody:
„Azaż Ta zmarła, której mowa żyje —
I cuda tworzy?..
W sinych Jej wargach
Dziwne czarowne
Grają hejnały...
Tej wiecznie Bladej, nie dorzeza nóż,
Nie zdławi sznur,
Nie zgniecie młot...“



R. S.

Teatr miejski we Lwowie.

Budował się przez lat 3, tj. od roku 1897. do 1900. Zbudowany został według planów i projektów Zygmunta Gorgolewskiego. Nadesłany przezeń plan, komisya konkursowa, złożona z najpierwszych architektów i estetyków polskich, oraz radcy ministeryalnego Förstera, twórcy wiedeńskiego „Ringtheatru“, przyjęła jednomyślnie, poczem orzeczenie to Reprezentacya miasta na jednem z plenarnych swych posiedzeń jednomyślnie zatwierdziła.

Wystawiono gmach ten monumentalny kosztem półtora miliona zł., na placu Gołuchowskich z tym zamiarem, ażeby zamknąć długi prospekt od placu Maryackiego. Cel ten w zupełności osiągniętym został. Wały Hetmańskie otrzymały w ten sposób bardzo piękne perspektywiczne zakończenie. Z drugiej jednak strony utraciła na tem piękność samego frontonu gmachu. Z olbrzymiemi pylonami fasada, urozmaicona architektonicznemi ozdobami i rzeźbami Popiela, Barącza i Wójtowicza, zdaje się być niejako przytłoczoną, ciemną o gigantycznych rozmiarach kopułą. Gmach sam tedy, któryby zyskał wiele na perspektywicznem skróceniu, traci ogromnie na tem, iż ogląda się go na odległość całej długości Wałów Hetmańskich a nadto, iż dla celów utylitarnych oś jego została przesuniętą w sposób rażący ku stronie prawej ulicy Karola Ludwika. To też ten błąd perspektywiczny, do którego się wiele przyczynia także i zbyt niski teren budowy, sprawia także i to, że nietylko podmurowanie dolne, na którem opiera się cała środkowa część gmachu i główny gzyms z atyką, ale wogóle cały gmach jest stanowczo dla oka zaniski, zamało imponujący ku górze.

Cała fasada frontowa traktowaną jest przeważnie w renesansie włoskim, poczem całość nastrojoną jest do kamertonu monumentalności.

Panu Gorgolewskiemu trzeba przyznać, iż jednolitość fasad bocznych z tylną została wcale szczęśliwie zachowaną.

Całość budynku podzielono bardzo wyraźnie zaraz na pierwszy rzut oka na trzy zasadnicze części. Już sama fasada frontowa bardzo wyraźnie na to wskazuje. Widzimy tu bowiem u dołu z grubsza ociosane „bonie“ (niższe podmurowania), nad niemi unoszą się wyraźnie odcinające się piętra, tworzące w ten sposób część środkową, nad tem wszystkiem zaś góruje, jako koroną, wokoło idąca, tzw. gzems główny, będący równocześnie także i zakończeniem fasady frontowej.

Sam gmach w przecięciu widziany dzieli się na: 1) przedsionki, 2) salę widzów, 3) scenę.

Wnętrze tego nowowzniesionego teatru jest imponujące. Wejść od frontu jest trzy. Niepokaźne w stosunku do ogromu całości, ale nakazane wymiarami cyrkla. Wchodzi się niemi do przedsionka. Na prawo i lewo prowadzą drzwi do kas. Z przedsionka, zawsze zresztą otwartego dla publiczności, prowadzą troje drzwi większych a dwoje mniejszych do westybulu. Podłoga wysłana tafelkami kamionkowemi. Sztukaterye gipsowe, proste i niewyszukane. Stąd się wchodzi do klatki schodowej. Kosztowała przeszło 60 000 złr., ale robi wrażenie czegoś bardzo bogatego i wspaniałego. Całość krzycząca, ogromnie złocona, moc marmurów, pylonów, gipsowych sztukateryj itd. Góra pokryta malowidłami, wykonanemi wedle szkiców Popiela. Po jednej stronie alegorye muzyki, śpiewu, komedyi i dramatu, po drugiej wyobrażenie muzyki nowożytnej i starożytnej. Między temi rozmieszczono alegorye: rzeźby, literatury i malarstwa, nadto mieszczaństwa, rycerstwa i ziemiaństwa.

Z westybulu prowadzą osobne z każdej strony schody do foyer. Foyer równie wspaniałe i bogate, jak klatka schodowa, bardzo też ją przypominające. Wstęp dla wszystkich widzów z wyjątkiem trzeciego piętra. Po obu stronach bufety. I tu mamy bardzo artystycznie pomyślane i wykonane malowidła: Dębickiego allegorye Męstwa, Sprawiedliwości, Mądrości i Miłości, a także symbole Poezyi, Muzyki i Tańca, wszystkie trzy na plafonie, dalej Zubera dwie sceny z „Krakowiaków i Górali“ i „Wesela w Ojcowie“, Kaczor-Batowskiego, scena z „Barbary Radziwiłłównej“ i „Halki“, wreszcie Augustynowicza scena z „Zemsty“ i „Fircyka w zalotach“.

Sala widzów, obliczona na 1190 osób, naprawdę po wielkoeuropejsku pomyślana i wykonana. Na plafonie 9 Muz, szkicowanych przez Rejchana, nadto wykonany przezeń „Tryumf sławy“ na plafonie proscenium. Wspaniały w efekcie jest żyrandol w kształcie świetlnego kosza. W dole proscenium, w zagłębieniu muszlowem mieści się orkiestra, obliczona na 50 i kilku ludzi.

Plan rozmieszczenia publiczności jest następujący: na parkiecie foteli mamy 272, na parterze zaś, który jest oddzielony od „parkietu“ i w głąb pod pierwsze piętro wsunięty, jest tych foteli 120. Lóż parterowych z każdego boku mamy po pięć.

Dodać do nich trzeba dwie prosceniowe z gabinetami dla kasyna „końskiego“ i koła lit.-artystycznego.

Na pierwszem piętrze mamy po obu bokach po 8 lóż, razem 16, a doliczyć do nich należy ozdobną, z gabinetem przybocznym lożę cesarską, jako też vis á vis niej się znajdującą lożę marszałka krajowego, lub też prezydenta miasta. Środek pierwszego piętra zajmuje 71 foteli, rozmieszczonych w 6 rzędach.

Na drugiem piętrze z każdej strony znajdujemy po 7 lóż. Ponadto dwie prosceniowe, z lewej strony zaabonowane przez Tow. strzeleckie, z prawej prawdopodobnie przez kasyno mieszczańskie. Foteli w 6 rzędach a 3 oddziałach, stoi tu 110.

Trzecie piętro posiada siedzeń 292, rozmieszczonych naprzeciw sceny w 6 rzędach, a po obu stronach w czterech.

Wyjść w teatrze nowym jest tyle, że niema mowy o jakimś tłoku w czasie możliwej paniki. I tak, parkiet posiada dwa wyjścia, parter cztery, pierwsze piętro dwa, drugie piętro cztery, trzecie piętro trzy.

Osobne dwie loże dostali artyści, wchodzący w skład personalu teatralnego. Są to dwie loże prosceniowe, jedyne na trzeciem piętrze.

Każde naturalnie piętro posiada dla siebie osobne schody, oprócz głównych w klatce wchodowej, osobne też marmurowe schody z osobnem wyjściem od gmachu skarbkowskiego prowadzą do loży cesarskiej.

Ogromną przestrzeń zajmuje sama scena która ma 23 m. szerokości a 18 długości, do tego doliczyć trzeba w głąb idące „zascenie“ 12 m. szerokości a $6^1/_2$ długości mające. Wysokość sceny wynosi do samej góry 44 m., sam otwór do widowni $11^1/_2$ metra.

Ponad sceną umieszczony olbrzymi aparat sceneryi, składający się z przeróżnych konstrukcyi żelaznych, których część drugą umieszczono pod sceną, w głębi idącej 3 piętra na dół.

Gmach cały zaopatrzony został w oświetlenie elektryczne, swojej własnej konstrukcyi, w specyalny system kaloryferów ogrzewających od góry ku dołowi, wreszcie w specyalne urządzenia zapobiegawcze na wypadek możliwego ognia, idące tak daleko, że zapomocą sikawek, zawsze gotowych, umieszczonych we framugach piąter, w przeciągu pół godziny cały teatr może być zalany wodą. Jeśli jeszcze dodamy, iż scena odznacza się doskonałą akustyką, wyczerpaliśmy w ten sposób w krótkości opis wspaniałego pałacu Thalii i Melpomeny, wznoszącego się dumnie pod egidą trzech skrzydlatych geniuszów sławy.



TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sejmowe koło polskie.

P. Jaworski, stosownie do życzenia, zwołał sejmowe koło polskie do Lwowa na 3. bm. Frakcya demokratyczna p. Romanowicza jawiła się wprawdzie na posiedzeniu, jednak złożyła deklaracyę, że w obradach nad reformą regulaminu komitetu centralnego udziału nie weźmie, gdyż do tego komitetu nie chce należeć.

Poprze natomiast komitet w walce z ewentualną kandydaturą nienarodową. Następnie uchwalono projekt regulaminu i dokonano wyborów do komitetu centralnego. Weszli doń pp.: hr. W Dzieduszycki, St. Jabłoński, St. Jędrzejowicz, Wł. Kozłowski, M. Michalski, T. Merunowicz, ks. Nowak, hr. And. Potocki, T. Skałkowski, Aug. Sokołowski, Lenard Wiśniewski, a jako zastępcy: W. Górka, A. Cieński, J. Jawornicki, St. Moysa, Fr. Paszkowski i G. Romer. Prezesem wybrany p. T. Skałkowski, albowiem ani p. W. Dzieduszycki, ani Męciński nie chcieli przyjąć tej godności.

Na temże posiedzeniu radzono nad kwestyą solidarności w Wiedniu. Na wniosek p. Rayskiego uchwalono rezolucyę, żądającą zmiany statutu koła polskiego w Wiedniu. Ludowcy usprawiedliwili swą nieobecność pisemnie tem, że nie chcą brać udziału w obradach nad regulaminem komitetu centralnego, albowiem tego komitetu nie pragną i nie uznają.

Rozłam demokracyi.

Zwołana przez dr. Weigla konferencya wszystkich posłów demokratycznych odbyła się we Lwowie 2. bm. i — niestety — nie doprowadziła do porozumienia.

Uczestniczyło w niej 29. posłów, którym p. Rayski w imieniu grona kolegów przedłożył następującą rezolucyę:

1. Wyrażamy przekonanie, że utrzymanie solidarności posłów polskich w parlamencie wiedeńskim jest koniecznem ze względów narodowych i taktycznych, życzymy sobie jednak zmiany dotychczasowego statutu Koła pod warunkiem, że nie naruszy ona i nie zachwieje zasadą solidarności.

2. Pragniemy zreorganizowania wyborczego komitetu centralnego w tym kierunku, aby objął wszystkie stronnictwa narodowe polskie i każdemu z nich dawał możność wpływania w odpowiedniej mierze na nominowanie kandydatów, których komitet bez względu na ich przekonania polityczne popierać będzie obowiązany.

3. Wyrażamy przekonie, że demokracya polska nie może i nie powinna wchodzić w sojusze ze stronnictwami, nie stojącemi na gruncie narodowym.

Grupa posłów Romanowicza i Rutowskiego zgodziła się na ustępy pierwszy i ostatni, natomiast zwalczała ustęp o komitecie centralnym. Wnioskodawcy znowu byli zdania, że wszystkie trzy ustępy stanowią całość nierozłączną. Do głosowania nie przyszło, albowiem grupa p. Romanowicza, bez upoważnienia Rady naczelnej swego stronnictwa, nie czuła się być uprawnioną do powzięcia uchwał. Poza tem poleminowano gorąco, a bezskutecznie o zachowanie się i postępowanie niektórych posłów, zarzucając sobie nawzajem zdradę zasad stronnictwa. W tej chwili każda frakcya uważa drugą za — secesyonistkę, a siebie za klub właściwy. Pochodzi to stąd, że dotychczas nie wszyscy posłowie dawnej lewicy oświadczyli się, do której grupy należą. Uczynił to onegdaj dr. Piętak, występując z grupy Romanowicza.

Zawierucha w Chinach.

W ostatnich dniach coraz bardziej uzasadnia się nadzieja, że wkrótce przyjdzie do zbliżenia pomiędzy mocarstwami w kwestyi chińskiej. W ostatnich dniach nastąpiła żywa wymiana zdań między ameryk. sekretarzem stanu Hayem a posłem niemieckim w Waszyngtonie, który oświadczył, iż Niemcy godzą się na pokój, jeśli Chiny dobrowolnie wydadzą ośmu winnych członków rodziny cesarskiej. Jako główne warunki rokowań pokojowych Niemcy stawiają:

1 aby zastępcy mocarstw w Pekinie rozstrzygnęli, czy osoby przez rząd chiński wydane są rzeczywiście głównymi winowajcami;

2. aby posłowie otrzymali gwarancyę, że wydanym winowajcom wymierzona zostanie kara;

3. aby kara ta wymierzona została w obecności posłów.

Prawie równocześnie nastąpiło wskrzeszenie „przymierza rosyjsko-miemiecko-francuskiego dla spraw wschodnio azyatyckich“.

Wynikiem tego porozumienia jest nota francuskiego ministra spraw zew. p. Delcasségo, która uznaje konieczność ukarania winnych, wszakże nie stawia tej konieczności jako warunku wstępnego, który musi być spełnionym przed przystąpieniem mocarstw do układów zasadniczych z Czingiem i Li Hung Czangiem. Żądanie może być postawione, satysfakcya w tej mierze musi być daną, wszakże niema powodu do odraczania całej akcyi dyplomatycznej aż do chwili zadosyćuczynienia temu warunkowi.

Spisek anarchistyczny.

W ostatnich dniach wykryto spisek na życie Mac Kinleya. Zamachu dokonać mieli dwaj Włosi, należący do tego samego związku anarchistycznego, z którego wyszedł Bresci, morderca króla Humberta. Jeszcze ich nie schwytano, ale jednego z nich widziano przebranego za żołnierza. Zamach miał być dokonany w Kantonie. Mieszkania prezydenta, jakoteż wszelkich dróg prowadzących do niego, strzegą tajni agenci policyjni. Burmistrz kantonu polecił policyi, aby ostro czuwała nad obcemi osobami, przybywającymi do miasta. Wiadomość o tem wywołała wielkie wzburzenie w całym kraju.



Uroczystość otwarcia nowego teatru we Lwowie.

Uroczyście, poważnie, wspaniale, a przytem z wrodzoną serdecznością polską — oto wrażenie, jakie wyniósł każdy z uczestników aktu, pamiętnego dla dziejów sztuki narodowej: otwarcia nowego we Lwowie teatru. Przebieg całej uroczystości, obmyślany do najdrobniejszych szczegółów, sprawił wrażenie bardzo podniosłe, jak zresztą podniosłem dla każdego Polaka była tego obchodu przyczyna. Pomimo bardzo licznego zjazdu gości z całego kraju, nie zapomniano o nikim i nie było też nigdzie owego zamieszania i konfuzyj, jakie niestety, tak często zdarzają się gdzieindziej. Zasługa to sprężystej organizacyi komitetu gospodarczego i prezydyum miasta, którym też nie szczędzono wyrazów uznania. Przyjemnem zwłaszcza było, słyszeć gości ze stron dalszych, gdy podnosili „europejskość“, z jaką byli traktowani. Wiedziano o pomieszkaniu każdego, wręczono im zaproszenia na poszczególne zebrania, bilety teatralne, udzielano informacyi, na każdym kroku starając się, aby ich zadowolić. Cierpieli na tem wprawdzie potrosze miejscowi, zwłaszcza, co do biletów na pierwsze widowisko w teatrze, ale, o ile pokrzywdzenie miało miejsce na rzecz zamiejscowych

gości, każdy znosił je chętnie. Były tam może pewne drobne protekcyjki ze strony drobnych protegowanych, ale w tem dowód jedynie, że i w magistracie są ludzie, nie aniołowie.

Najmilej, oczywiście witano wszędzie Warszawiaków i Czechów. Z syreniego grodu zauważyliśmy pp. Sygietyńskiego, Bogusławskiego, Rejchmana, Noskowskiego, Müncheimera, Kościeleckiego, Gawalewicza, Wojdałowicza; z Poznania był, zdaje się tylko p. Rygier, dyrektor tamtejszego teatru; z Krakowa deputacya Rady miejskiej z wiceprezydentem Pieniążkiem na czele, oraz cały zastęp przedstawicieli świata literackiego i artystycznego. Zaimponowali Czesi: deputacya miasta Pragi z prezydentem Srbem, oraz czterej delegaci „Narodnego Divadla“ — byli przedmiotem powszechnej uwagi i objawów szczerej sympatyi. Z kraju widziało się przeważnie posłów wszystkich stronnictw i odcieni, a pomiędzy nimi dra Piętaka, który, nie jako minister, ale, jako poseł lwowski i Lwowiak, przybył na uroczystość.

Chłodny poranek czwartkowy wcale nie przeszkodził temu, że tłumy publiczności płynęły falą przez Wały Hetmańskie ku nowemu teatrowi, którego szczyt glorietki przystrojono flagą biało-czerwoną. Porządek jednak panował wzorowy, nastrój publiczności był poważny i uroczysty.

Punktualnie o 11-ej — po nabożeństwie odprawionem w katedrze — poczęły zajeżdżać przed gmach powozy z zaproszonymi dygnitarzami. Bogate były stroje polskie, ale niezbyt liczne. Wystąpili w nich: marszałek hr. Badeni, prezydent dr. Małachowski i kilkunastu radnych miasta. Zresztą — fraki. Z obawy natłoku, do wnętrza gmachu wchodzili tylko mężczyźni, ale przez pomyłkę dostało się tam również grono pań. Okazało się jednak, że obawy były płonne. Klatka schodowa — gdzie miała miejsce uroczystość — wcale nie została przepełniona, a nawet niezbyt zapełniona. Na piętrze, za balustradami, zatęli miejsce członkowie Towarzystw śpiewackich i orkiestra teatralna. Wprowadzony przez kilku duchownych, ks. arcybiskup Issakowicz, po ciepłej, jak zwykle, krasomówczej, a katolickim duchem owianej przemowie, dokonał poświęcenia gmachu i teraz rozpoczęły się mowy, wedle programu. Zabierali więc głos: twórca gmachu, p. Gorgolewski, prezydent dr. Małachowski, namiestnik hr. Piniński, marszałek hr. Badeni, dyrektor Pawlikowski, prezydent Pragi dr. Srb, w imieniu autorów Aureli Urbański, ze strony artystów Wł. Woleński.

Mowy te w brzmieniu dosłownem zamieściły już pisma codzienne. Nam wystarczy scharakteryzować ogólnie, że wszyscy mowcy podnosili zgodnie tryumf kulturny i znaczenie narodowe uroczystości. Usłyszeliśmy pokrótce dzieje budowy gmachu z ust p. Gorgolewskiego, ciepłe wspomnienie o przeszłości sceny polskiej we Lwowie z ust dr. Małachowskiego, który przytem wyrażał wdzięczność Rody miejskiej dla cesarza, oraz przedstawicieli rządu i kraju. Na narodowy kierunek położył szczególny nacisk także hr. Piniński, a marszałek Badeni życzył, aby ta scena podnosiła umysły, umoralniała i uzwględniała szczególnie sztuki narodowe. Skromnie dziękował za zwracane doń słowa życzliwości p. Pawlikowski, prosząc o wyrozumiałość, a pełen polotu, wysoce potryotyczny wiersz swój odczytał Aur. Urbański. P. Woleński wreszcie zapewnił, że przy takiem poparciu sceny ze strony społeczeństwa, rosną serca w artystach i dusze rwą się do pracy. Z uwagą słuchano dr. Srba, który przemawiał po czesku, życząc rozwoju sztuce narodowej polskiej, odczytał przytem długi adres Rady miasta Pragi do Rady miejskiej lwowskiej, wystosowany z okazyi uroczystości, a pełen braterskich uczuć. Mowa tam o jedności i miłości dzieci Czecha i Lacha i o wspólnej obronie pod hasłem „Za naszą wolność i waszą“.

Wzmiankę o cesarzu, oraz przemówienia pp. Badeniego, Srba i Urbańskiego uczciła orkiestra odegraniem hymnu austryackiego, oraz „Jeszcze Polska nie zginęła“ i „Kde domow muj“.

Teraz trzystu śpiewaków i śpiewaczek pod kierownictwem p. Czelansky'ego odśpiewało kantatę Galla do słów Witołda Schreibera. Wykonanie było wzorowem, „kantata“ jest właściwie bardzo ładną piosenką, jednak nie kantatą, a wiersz p. Schreibera nad wyraz banalny.

Podpisanie aktu pamiątkowego zakończyło uroczystość. Goście udali się do ratusza, gdzie Rada miejska przyjmowała śniadaniem, zastawionem w kilku salach. Radni sprawowali rolę gospodarzy, a gościnnie i serdecznie, jak we własnych domach.

* * *

Kiedy zmierzch zapadł, zajaśniały światła pełnym blaskiem w nowej świątnicy sztuki.

Pierwsze przedstawienie inauguracyjne.. Każdy z tych szczęśliwców, którzy w niem brali udział, dzień ten głęboko zapisze w swej pamięci!

Wspaniały widok przedstawiała sala teatralna. Wzruszenie, jakie na twarzy człowieka przejawia się tylko w chwilach najważniejszych w życiu — malowało się na obliczach obecnych.

Odstępując od zwyczaju przedstawiania podczas podobnych uroczystości sztuk znanych i uznanych, wystawiono poraz pierwszy w ogóle na scenie dwa dzieła współcześnie żyjących twórców Kasprowicza i Żeleńskiego, wplatając w nie jedno z arcydzieł Fredry.

Prolog Kasprowicza i opera Żeleńskiego zasługują na tak poważne traktowanie, iż ujmą dla nich byłaby dorywcza, bezpośrednio pod wrażeniem pierwszego przedstawienia napisana ocena. Dziełom tym przypatrzyć się, a następnie rozważyć ich zalety i wady trzeba będzie dopiero wtedy, kiedy słuchacz otrząśnie z siebie silne, poniekąd trzeźwość kryteryum słabiące uczucie, wywołane uroczystością chwili, a tak bardzo udzielające się sercu Polaka.

Zaznaczyć jednak należy, iż wrażenie, jakie przedstawienie z punktu widzenia teatralnego na zgromadzonych wywarło, było wielce dodatnie.

* * *

Mnóstwo listów i telegramów nadeszło od rodaków i od Czechów.

Po przedstawieniu inauguracyjnem odbył się wspaniały raut u marszałka kraju, a następnego dnia bankiet, wydany przez koło artyst.-literackie i dyrekcyę teatru na cześć zamiejscowych dziennikarzy i artystów.



Z prologu

na otwarcie teatru nowego we Lwowie: „BAŚŃ NOCY ŚWIĘTOJAŃSKIEJ“.

Scena ostatnia.

(Dzień. Odgłos surm. Król z orszakiem. Róża w wieńcu róż. Lilla z liljami na głowie, 12 harfiarzy. Doktór. Mefisto. Wojewoda. Jego syn. Pani ze dworu. Rycerze. Wojtek na czele oddziału chłopów etc.)

KRÓL.

. . . .
Wszystko to było snem!
(do Wojewody)
I twoja krzywda
złudą-li była, mości wojewodo!
(do Doktora)
I ty, mój mistrzu, nadworny lekarzu,
(do Mefista)
i ty, trefnisiu, coś sobie przyprawił
rożki Mefista z niewinnej pustoty —
wszystko to było snem i snem i złudą.
Moje wietrznice — hej-że, do orszaku
moc wasza przeszła! — me błędne ogniki
taką igraszkę uczyniły sobie
w tej pełnej czarów świętojańskiej nocy,
w której zakwita rajski kwiat paproci.
Dla nas on zakwitł, bo jeśli na świecie
pleni się zbrodnia, to dziś ją wygania
ma biała Lilla i płomienna Róża
i ci rycerze, uśpieni przez wieki
w zaczarowanej tej skale, w tej ziemi
smutku i trudu, radości i chwały,
i ten mój prosty, siermiężny bohater,
(wskazuje na Wojtka)
który wylaniem swojej krwi serdecznej
wywalczył sobie rycerskie ostrogi.
Niech się nam święci cudny kwiat paproci,
niech się nam święci biały, jasny dzień!
Oto już w zorzy śnieżny szczyt się złoci,
który tak długo obleczon był w cień.
Harfiarze moi! starce siwowłosi,
z Lillą i Różą, kochankami pieśni,
uderzcie w struny na chwałę zwycięztwa!
A wy śpiewacy, wtorujcie im w cześć
kwiatu paproci i nowego dnia —
w cześć onej wielkiej i wspaniałej pieśni,
co sobie nowy wystawia przybytek,
by dać w nim siłę ludzkim namiętnościom,
a skrzydła złote tym ludzkim marzeniom —
by nam pokazać prawdę tych postaci,
których zaledwie nikłe, blade cienie
zobaczyliśmy przed chwilą...

CHÓR.

Niech się nam święci cudny kwiat paproci,
niech się nam święci wonny, jasny dzień!
Oto już w zorzy śnieżny szczyt się złoci,
który tak długo obleczon był w cień.
Niech się nam święci w nieprzerwane lata
tej naszej pieśni wszechpotężna moc.
Ona blask sieje po rozłogach świata
i ze serc ludzkich ciemną płoszy noc.
Z miesięcznych mgławic lotne widma [tworzy
z piany potoku i z poszumu drzew.
Przez nią przemawia odwieczny duch boży,
jak świst wichury lub jak jezior śpiew.
Ona to z duszy wywabia prostaczej
miłosnych szeptów słodki, wonny czar;
głos daje zbrodni, cnocie i rozpaczy,
jest matką czynów i wspaniałych mar.
Rycerzy budzi, uśpionych przez wieki,
śród krwawej łuny prowadzi ich w bój
i dzień zwycięstwa przybliża daleki
i w tryumf zmienia tysiącletni znój.
O boża pieśni! o cudna paproci!
Ty w naszych sercach na wieki się pleń!
W niezgasłych blaskach niech się dzień [twój złoci,
nieustającej chwały jasny dzień.



Władysław Witwicki.

Nowy teatr.

Prawdę powiedziawszy, dziś zawcześnie jest pisać o nowym teatrze. Nowy teatr to ma być, a wedle wielu jest już dziełem sztuki. Dzieł sztuki oceniać nie można przed ich ostatecznem ukończeniem, a czasem nawet oprawieniem. Skoro nikt nie krytykuje obrazu, wiszącego jeszcze na sztaludze w pracowni malarza, skoro nikt nie ocenia rzeźby, gdy z niej jeszcze artysta nie zdjął szmat zwilżających glinę, to nie powinno się też sądu wydawać o dziele architektury, póki zasłaniają je rusztowania z zewnątrz, a wewnątrz roją się robotnicy, sterczą drabiny, wiszą druty, sznury, leżą szafliki z wapnem, gipsem, tlą w półcieniu mdłe lampki żarowe, ogłuszający trzask młotów i siekier, zgrzyt pilników i nawoływania majstrów nie pozwalają skupić uwagi, a światło rozmieszcza się w gmachu w sposób zupełnie przypadkowy i wcale niezgodny z zamiarami architekta.

Oglądając gmach w tych warunkach, nietylko nie może się nabrać wyobrażenia i sądu słusznego o całem dziele, ale jest się skłonnym do wydawania sądu ujemnego. A mimo to, publiczność chce coś o nowym teatrze wiedzieć, chce mieć o nim coś wydrukowanego, coś, coby można przejąć i powtarzać. Toteż, krytycy, piszący, muszą przed czasem już ciekawość jej zaspokoić i opinię stworzyć. Opinia się przyjmuje i ludzie mają sobie za punkt honoru narzekać na nowy teatr, na jego kopułę, brak schodów, ornamentykę zbyt obfitą, fatalne rozmieszczenie i tysiące najrozmaitszych braków. Panowie! Poczekajcie... Kiedy usuną z przed teatru śmiecie i kupy kamieni, kiedy się oporządzi i urządzi jego otoczenie, kiedy będzie miał tło właściwe — to zobaczymy dopiero wówczas, jak właściwie teatr z wierzchu wygląda. Dziś jeszcze czas.

Na razie przejdźmy się ulicą Karola Ludwika, zaglądnijmy na wystawę u Klimkiewicza, przejdźmy na wały Hetmańskie i chodźmy powoli do teatru. Nie myślmy o tem, co będzie, bo na to jeszcze za wcześnie, ale patrzmy na to, co jest.

Dwa szeregi akacyj, zbiegające się prawie w dali. Dawniej łączył je daleki rząd brudnych domów, dziś je zamyka gmach teatru. Ta właśnie okoliczność jest dla teatru bardzo korzystną; dochodząc do niego, widzi się go dłuższy czas. Najpierw widz obejmuje całość, chwyta kontur ogólny budowy i rozmieszczenie mas, a w miarę, jak się ku gmachowi przybliża, może zwolna analizować wrażenie ogólne, może wyróżniać i oceniać szczegóły. Dziś, kiedy rusztowania zupełnie usunięto, kiedy widok na teair jest zupełnie otwarty i fasada już ukończona, można śmiało powiedzieć, że zdaleka gmach wyglada doskonale. Budowa mocna a proporcyonalna. Narzekano na kopułę; mówiono, że przyciska gmach, że psuje całość ta wielka, jednostajna masa ciężkiej miedzi.

Ale wystarczy raz o zachodzie słońca sylwetę teatru zobaczyć, żeby się przekonać, jak jej linia jest doskonale z całością związana, wystarczy okiem na teatr rzucić i wyobrazić sobie, że jej niema, a odczuje się brak jakiegoś zakończenia czy uwieńczenia budowy. Że kopuła ciężka, to właśnie dobre dla gmachu. Tak silne, kamienne mury muszą coś ciężkiego dźwigać bo inaczejby się nie tłómaczyła ich moc niezużyta. Toż zbliska nawet, kiedy kopułę fronton zasłoni — gmach nabiera wyglądu mniej korzystnego. A podobać się będzie z chwilą, gdy sobie wyobrazimy, że to nie skończona całość, ale podstawa jakiejś olbrzymiej wieży, że to dolna część jakiejś ogromnej budowy, która ma dopiero wyróść. Gmach się wówczas zapłaski wydaje i zaszeroki. Kopuła tedyto nie błąd architektoniczny, to konieczny czynnik składowy estetycznego wrażenia, jakie teatr wywiera.

Druga zaleta fasady, to wyraźny, łatwy do uchwycenia podział. Cały front gmachu na trzy części się dzieli. Środkowa znowu ma trzy okna wielkie i troje drzwi wchodowych. Okna dość wielkie, by gmach nie był zbyt ciężki i martwy, kolumny podwójne, które je rozdzielają, dość mocne, żeby utrzymać fronton i wielką sylwetkę kopuły. Trzy rzeźby ciemnobronzowe na szczycie a dwie kamienne figury we framugach bocznych skrzydeł.

Szczytowe wiążą się z kopułą, boczne ożywiają ściany. Zdaleka wszystko proste, proporcyonalne, logiczne, potrzebne i harmonijne. Wrażenie ogólne bardzo dodatnie.

Zbliska już nie tak dobrze gmach się przedstawia, jako całość, ponieważ traci zakończenie kopuły, traci pokrycie, dach, traci to, co miały dźwigać kolumny i mury boczne; fronton i gzyms pod nim, to masa dla nich zawąska i zamała. Jednakże należy to architekcie przebaczyć, bo cóż miał właściwie wystawić na szczycie? Przecież nie mógł zrobić jednego pokrycia, któreby dobrze zdaleka wyglądało, i drugiego zarazem, któreby należało oglądać zbliska. Poradził sobie i tak bardzo dobrze. Ubrał front gmachu masą figur i ornamentów tak, że rozproszona na nich uwaga widza nie ma czasu śledzić linij całości.

Na szczycie w środku figura bronzowa „Sławy" wznosi palmę złoconą. Ruch postaci nie tak szablonowy, jak zwykle bywa w rzeźbach tego rodzaju, a doskonale dostosowany do umieszczenia figury. Dwie boczne grupy bronzowe, allegoryczne, nie tłómaczą się tak wyraźnie, ale też treść ich nie zajmuje widza zbytnio. Cóż może być na teatrze? „Muzyka", „Tragedya", „Poezya", lub coś w tym rodzaju. Zawsze to samo i zawsze tak samo. — Niżej tympanon Popiela. Ma to być „Życie ludzkie". Gdyby się nie znało zgóry tytułu, trudnoby zgadnąć, o co właściwie chodzi w tej płaskorzeźbie. Zresztą nic dziwnego. Doprawdy trudno jest wyrzeźbić, czy wymalować taki rebus niepodpisany, z któregoby widz mógł odczytać: „Życie ludzkie", chyba, że się artysta banalności chwyci, a na tem nie zależałoby chyba p. Popielowi.

Linie figur godzą się z trójkątem tympanonu, więc i oko zadowolone. Anatomia ludzkich postaci, aż zanadto staranna i wyraźna, prawdopodobnie ze względu na wysokie umieszczenie rzeźby, a przytem światło słoneczne tak razi oczy widza, któryby pragnął wniknąć w szczegóły tego dzieła, że każdy zadowala się ogólnikowem, wcale dodatniem wrażeniem. Przebiegamy okiem szereg postaci kobiecych na wysokim gzymsie i nic nadzwyczajnego nas nie zatrzymuje. Całkiem pospolite muzy, któreby mogły w roli karyatyd podtrzymywać ganki państwowych gmachów, lub w pomniejszeniu dźwigać szalki aptekarskich wag. Na bocznych skrzydłach gmachu we framudze jednej siedzi olbrzymia kamienna „Komedya", w tronowej, a raczej pomnikowej pozie. Wlepiła zdumione oczy w trawnik przed teatrem, dzieło p. Röhringa, i stara się robić uśmiech wcale nienaturalny.

Rzecz konwencyonalna i niekoniecznie udała.

Odpowiada jej po drugiej stronie umieszczona Tragedya, której anatomia nieco szwankuje. Lewa noga jej i prawa ręka wzbudzają wielkie niedowierzanie w oczach ludzi, zwracających uwagę na szczegóły w budowie ciała. Prócz tych rzeźb, uderzają nas bardzo dobre obramienia figuralne nad łukami okien, rzeczy zupełnie poprawne technicznie i dostosowane do swego przeznaczenia.

Jednego brak teatrowi: drzwi wchodowych, któreby odpowiadały wspaniałością, a choćby rozmiarami takiemu gmachowi. Tych troje głównych drzwi, które doń z frontu prowadzą, dobreby były do piwnicy, grobowca, katakomb — ale nie do teatru i do takiego teatru. Zamałe, zaproste, zapoważne, zbyt zgniecione i niskie. Być może jednak, że gdy je zasłonią krytym zajazdem dla powozów, zmieni się postać rzeczy. Zobaczymy. Jak na teraz, to tyle mamy na froncie teatru rzeźb, i ornamentów, i napisów do oglądania i odczytania, że na drzwi możemy nie patrzeć. I tak teraz jeszcze niemi nie wejdziemy do środka, tylko bocznem wejściem od strony placu Gołuchowskich. Nie będziemy oglądali długich, podziemnych kurytarzy, ani krypt kryjących ogromną baterye akumulatorów, przyrządy służące do ogrzewania gmachu, odświeżania powietrza i tym podobne utensylia. Nas tylko strona estetyczna zajmuje. Wchodzimy tedy w niski, parterowy korytarz, wylakierowany na biało i ozdobiony złoceniami, jak zresztą cały teatr przeważnie.

Ładne to i czyste, ale nie wiedzieć, czy białość oprze się palcom i pyłom

krótkiego nawet czasu. Oglądamy garderoby artystów. Maleńkie, białe, z rzeźbionemi meblami, czyste bardzo i wygodne. W garderobach artystek bielej, niż gdziekolwiek. Wogóle kolor niewinności dominuje w tym wielkim domu sztuki.

Sala widzów. Białe pasy balkonów przerzynają ciemne pąsowe masy foteli. Naturalnie to samo, co w starym, skarbkowskim gmachu, tylko mniejsze wszystko, czystsze, świeższe i zgrabniejsze.

Karyatydy podtrzymujące loże i balkony, nie tak banalne, jak dawniej. Owszem, rzeźby bardzo dobre i naprawdę dzieła sztuki.

Nad orkiestrą, na suficie allegoryczna scena St. Rejchana. Rzecz bodaj, czy nie najlepsza w całej sali widzów, bo 10 muz na suficie około świecznika wypadło niezbyt dobrze.

Dziś wyglądają bardzo płasko w modelacyi, w konturze nie najlepiej, a w kolorze monotonnie. Być może, zmieni się to, kiedy zapalą wszystkie lampy wspaniałego naprawdę świecznika. Nie zobaczymy w sali widzów zresztą nic więcej ciekawego, szczególniej teraz, kiedy i światło niekoniecznie dopisuje; — przejdźmy tedy do foyer. Tu nam przynajmniej jasno i jeśli nas tylko nie potrąci któryś z cieślów, robiących podłogę, zobaczymy ciekawą rzecz na suficie. Sufit oblepiono obrazami kilku malarzy lwowskich, którzy zazwyczaj malują tak odmiennemi sposobami i tak się zasadniczo różnią, jako artyści, że się ich na pierwszy rzut oka poznaje. Tutaj tak się pięknie zestroili, że zrazu Augustynowicza trudno od Batowskiego odróżnić, a Zubera omal, że się z Dębickim nie pomiesza.

Co dziwniejsza: artyści pozbyli się nietylko swych wybitnie indywidualnych cech na korzyść jednolitości plafonu ale niektórzy nawet o swych zwyczajnych wadach zapomnieli.

Aż miło patrzeć, jak u jednego nagle się rysunek poprawił, drugiemu duch jakiś powietrze tchnął w obraz, trzeci grupę wyrysował wcale dobrą — choć mu się to w zwyczajnych warunkach niezawsze udaje.

Podobno p. Dębicki był tym czarodziejem, który potrafił złożyć tak harmonijny chór. Nie wdajemy się w opis poszczególnych obrazów, przedstawiających sceny z dramatów naszych i oper, bo słowo nie da tego, co pędzel podać umie, tylko przechodzimy do przedsionka.

Znowu białość, złocenia, marmury i stiuki czarne, czerwone i żółte, białe medaliony autorów scenicznych a na suficie i pod nim malowidła allegoryczne i „martwe natury". Znowu rzeczy bez zarzutu. Całość gmachu tak zewnątrz, jak i wewnątrz w późnym renesansie trzymana i to w bardzo późnym,' bo używanym najczęściej w gmachach publicznych dziewiętnastego wieku.

Recenzenci widzieli w nim pewien odcień nowoczesny. Rzecz dziwna, bo z wyjątkiem linij schodów głównych, wygiętych nieco swobodniejszym łukiem, nie można się w architekturze gmachu dopatrzeć niczego, coby miało być nowoczesnem. Chyba obrazy z plafonów, w których niema nic renesansowego, były powodem tych mniemań.

Ile więc dziś sądzić można, to teatr nowy wypadł ogólnie dobrze pod względem estetycznym, wypadł nawet bardzo dobrze. Ocenić go jednak właściwie będzie można dopiero wówczas, kiedy w nim światła wszystkie zapłoną, kiedy się przed nim zaroją powozy, a wnętrze tłum strojny wypełni, kiedy Siemiradzki zawiesi kurtynę a żaden młotek ciesielski nie będzie psuł harmonijnych dźwięków orkiestry.

Wtedy dopiero będziemy przed sobą mieli to, co zamierzał dać architekt, wtedy będziemy mieli dopiero dzieło skończone — wtedy będzie czas na sądy, a mamy nadzieję, że wypadną dodatnio.

We Lwowie 26. września 1900.



KURTYNA SIEMIRADZKIEGO.

Indywidualność Henryka Siemiradzkiego szuka dla siebie wyrazu w tematach ze świata antycznego. Oparty na głębokich studyach przeszłości, uczynił on świat grecko-rzymski treścią swych dzieł; na nić sympatyczną, co łączy ową piękną przeszłość z duszą artysty, nawiązał on całą garść pereł, znanych szerokiemu ogółowi pod nazwą: „Tańca wśród mieczów", „On i ona", „Fryne", „Wazon, czy kobieta", „Za przykładem bogów", „Pochodnie Nerona" i w. i. Jak perły, mienią się te dzieła urokiem barw przepięknych, a różnią się od pereł brylantowemi połyskami słońca, co oślepiającemi plamami obrzuca ich jasny, uroczy pejzaż.

Zapatrzony w ten swój świat ukochany, tonąc w nim całą duszą estety, chciałby Siemiradzki ze wszystkimi dzielić się tą rozkoszą zagłębiania się w świecie cudów antycznych: niedość mu, że wybrani mają w swych galeryach przepiękne jego kreacye: on chce być dostępnym dla wszystkich i oto namalował kurtynę dla teatru w Krakowie, a obecnie to samo uczynił dla Lwowa.

Słyszeliśmy czynione zarzuty, iż an tyczna treść kompozycyi, będąca do pewnego stopnia *pendant* kurtyny krakowskiej nie będzie przemawiała do duszy widzów tak, jakby to czyniło dzieło na swojskich, lub modernistycznych oparte motywach. Słyszeliśmy również zarzuty, co do samej kompozycyi, jako zbyt — akademickiej... Trudno: dusza Siemiradzkiego — to dusza greckiego estety i innych dzieł, nad antyczne, nie snuje ze swej głębi; a, co do drugiego zarzutu, trzeba pamiętać, że artysta jest nawskróś akademikiem, który od pierwszego dzieła swego („Jawnogrzesznica"), aż do ostatniego ani na krok nie zboczył z raz obranego kierunku. Siemiradzki zawsze pozostanie — sobą.

W głównym wątku kompozycyjnym „Lwowskiej kurtyny" Siemiradzki scharakteryzował proces twórczy powstania obrazu akademicznego. „Natchnienie", czyli pierwszą myśl obrazu, wspomagają: bujna, bo w górę wznosząca się „wyobraźnia" i zimny „rozum", który pilnuje równowagi. Figur, któreby mogły uosabiać pojęcie „Prawdy" i „Szczerości" napróżnobyśmy szukali, są to bowiem pierwiastki, których akademiczność malarska nie uznaje. Wszak wyobraźnia może zastąpić prawdę, a rozum czyż nie jest zwykle nieprzyjacielem szczerości?

Wielkie obrazy historyczne, których już kilka Henryk Siemiradzki wymalował, i mniejsze, rodzajowe, na tle starożytności osnute, w składowych swych częściach posiadają zawsze czynniki, które leżą w istocie malarstwa dekoracyjnepo. Z natury, z usposobienia, Siemiradzki jest akademikiem, nic więc dziwnego, że na polu, ku temu odpowiedniem, rozwija bogactwo swojego w tym kierunku talentu.

Mając już drugą z kolei do odmalowania kurtynę teatralną, Siemiradzki wypowiada alegorycznie genezę sztuki dramatycznej.

Wierny tradycyi, Siemiradzki, alegoryę swoję ujął w formę symetrycznie nieledwie ułożonych grup, które w całości swej robią wrażenie pięknie pomyślanego żywego obrazu. Kilkanaście niewieścich postaci w otoczeniu barwnych draperyj, stosownych do treści emblematów, nawet napisów, tłumaczących szczegóły, zlewają się w harmonijną sylwetę. Linia ogólna jest tu estetycznie wyszukana, nic nie odskakuje gwałtownie, nie razi zbyt ostrym kątem, każda z figur ma swe miejsce i na niem panuje niepodzielnie. Kompozycya, wyłaniając się niejako z oparów, unoszących się z pod stóp na pytyjskim trójnogu siedzącej postaci, uosabiającej „Natchnienie", rozwija się prawidłowo, rozchodząc się w dwie strony i przechodząc przez cały szereg kobiecych typów, alegorycznie przedstawiających oderwane pojęcia: wyobraźni, rozumu, fortuny, sławy, miłości, historyi, wreszcie tragedyę, komedyę, dramat muzyczny, operę komiczną i taniec.

Tło stanowi prześlicznie i z wielką plastyką namalowana świątyńka z wozem Apollina pośrodku, oraz włoski krajobraz, rysujący się majestatyczną linią wzgórz po obu stronach budynku. Niebo pogodne odpowiada pogodnym alegoryom tańca, opery komicznej, pieśni i liryki muzycznej; kłębiące się chmury zwisają nad upostaciowaną historyą, która zadaje pytanie przyszłości, oraz nad pogonią za niedościgłemi marami fortuny, miłości i sławy.

Szeroko rozłożona kompozycya, bogata nagością ciał, barwnością draperyi, precyzyą martwej natury i urokiem pejzażu, zamknięta jest w formę widocznie zastosowaną do właściwego przeznaczenia obrazu. Jest to dzieło dekoracyjne, przeznaczone na podniesienie wrażenia, jakie na widza wywierać powinna rzęsiście oświetlona sala teatralna.



Artur Schnitzler.

OWACYA.

NOWELETTA Z ŻYCIA TEATRALNEGO.

Przeszło pół godziny siedział już August Witte w kawiarni. Przed nim na stoliku leżał cały stos gazet, których jednak nie czytał — aż wreszcie Emeryk Berger nadszedł, widocznie bardzo się spiesząc.

„Wreszcie“, zawołał August „wreszcie przybywasz; już chyba najwyższy czas. Ja mam się o wszystko troszczyć“?!

„Przepraszam Cię“, rzekł Emeryk, siadając, „musiałem wizytę złożyć, a tam mię tak zatrzymano — lecz wszak nie spóźniłem niczego... Czy już wszystko przygotowane?

„Naturalnie“, odparł mu August, marszcząc lekko brwi — „na szczęście, mnie nie brak“.

„A więc w gruncie rzeczy niema nic do roboty, aż się ta historya rozpocznie“!

„Na razie nic“. Umówiłem się z Dobrdalem, aby tu przyszedł, chcę mu udzielić ostatnich instrukcyj“.

„To Dobrdal ma tu przyjść?“

„Dlaczegóżby nie? Wygląda wcale przyzwoicie. A wreszcie, wszak każdy wie, że on do nas nie należy!“

Emeryk skinął głową potakująco, następnie spytał: „A co będzie z wieńcami wawrzynowemi? „Już odniesione do teatru!“

„Tedy wszystko w porządku. — Lecz prócz nas nikt o tem nie wie, prawda?“

„Nikt“. Przecie Fredowi musimy wszystko powiedzieć, bo będzie z nami w loży“.

Emeryk zamyślił się.

„Czy nie sądzisz, abyśmy lepiej Fredowi — zrobili niespodziankę?“

„Co?, dlaczego?“

„Wiesz?... Ja myślę, że Fred jest czasami tak komicznym: on może wkońcu mieć coś przeciw temu“.

„To go żałuję bardzo. Przecie możemy sobie na taki żarcik pozwolić, a odpowiedzialność za to na nas spada. Prawda?

„Naturalnie“. Jedynie na Ciebie“!

„Tak, na mnie. Tak oryginalny pomysł nie wpadłby nikomu z was na myśl“.

„W istocie, w istocie, szeptał Emeryk, uśmiechając się, „lecz założyłbym się, że poza tem kryje się ta Blandini... i to, sądzę“.

W tej chwili zmierzył go surowym wzrokiem August i zamiast dalej mówić, patrzył tu i tam. Zakłopotany, wrzucił kostkę cukru do kawy i począł zlekka gwizdać.

„Dzień dobry wam“, rzekł Fred, który właśnie był nadszedł, i podał rękę obu mężczyznom.

„Dziękuję Ci za bilet, Auguście! Pozwolisz na jedno pytanie: Po co my właściwie idziemy jeszcze raz na tę głupią operetkę?“

„Zaraz się dowiesz“, odpowiedział August; — oto zresztą pan Dobrdal“.

Kto taki? spytał Fred.

Garson — zawołał August — widzisz tam, przy bilardzie tego pana, który się o coś pyta Franciszka? Proszę go zawołać.

„Dobrdal? — zwrócił się Fred pytająco do Emeryka — co to ma znaczyć? Co to za Dobrdal?“

Emeryk wskazał mu wzrokiem mężczyznę, który przyprowadzony przez garsona, przystąpił właśnie do nich i ukłonił się.

Był to niskiego wzrostu mężczyzna w haweloku, z czapką futrzaną w ręku. Na wstążeczce chwiał się na wszystkie strony cwikier.

August ruchem ręki wskazał mu krzesło. „Dobry wieczór, panie Dobrdal, czy pan może każe sobie coś podać?“

„Oh... dziękuję, nie potrzeba!“

„Więc proszę, usiądź pan!“

„Dziękuję panu!“

„Prosiłem pana, byś przyszedł do kawiarni, chcąc raz jeszcze — lecz, oto, garson — może pan przecie coś pozwoli?“

Każ mi pan z łaski swojej podać melanż, — rzekł Dobrdal i zdjął czapkę, którą położył na stole.

Emeryk wziął ją ostrożnie w ręce i położył na krześle.

Dziękuję panu — rzekł Dobrdal.

„Więc, począł August na nowo — ilu ludzi masz pan do tego?“

„Czterdziestu i dobrze rozmieszczeni“.

„Czy także i w parterze?“

„Naturalnie, sama galerya nic jeszcze nie stanowi. Parter przecie jest główną rzeczą!“

„A czy pan będziesz się widział jeszcze z tymi ludźmi zanim się przedstawienie rozpocznie“?

„Naturalnie, wszystkie ich miejsca mam przy sobie“.

„To dobrze. Więc posłuchaj pan, panie Dobrdal. Zaczniemy raz jeszcze: W pierwszym akcie — nic. Byłoby mi nawet przyjemnem, gdyby przy końcu aktu oklaski były oziębłejsze, niż zwykle“.

„Szanowny panie Witte — to niemożliwe. Dyrektor zamówił u mnie trzy wywołania.“

„O! To mi przykrość sprawia!“

Lecz wiesz pan co, panie Witte? Nakażę parterowi milczenie po pierwszym akcie.

„To dobrze. A teraz drugi akt — i o nim właśnie musimy pomówić. Najpierw występuje chór“.

„Przecie ja wiem, panie Witte“.

„Proszę tylko słuchać. Po odejściu chóru zostaje Blandini sama na scenie i jest bardzo smutną, następnie rzuca się na otomankę. W tej chwili występuje Roland“.

„I teraz pęka bomba“ rzekł Dobrdal.

„Roland?“ zawołał Fred.

„W tem leży właśnie dowcip“ — szepnął Emeryk“.

„W chwili, — ciągnął dalej August, — gdy Roland wystąpi — grzmiące brawo“.

„Dobrze“ — rzekł Dobrdal.

„Więc oklaski i brawa, a podczas tego poda się na scenę wieńce z orkiestry. Roland ma wtedy powiedzieć: Piękna pani!... Czy też: Piękna kobieto... Klejnoty te przysyła Ci mój pan. A potem śpiewa Blandini swą aryę, podczas której Roland przy drzwiach stoi. Następnie przystępuje Blandini do Rolanda i oddaje mu klejnoty“.

„Tak, jak to Blandini zwykła czynić“ — zauważył Emeryk.

August wpatrywał się w niego ponuro. Emeryk zaczerwienił się. Następnie ciągnął August dalej:

„Roland bierze klejnoty i mówi: Cóż mam panu memu odpowiedzieć?“ — albo coś podobnego — na to Blandini: Nic. — Teraz kłania się Roland i odchodzi. — Wtedy jeszcze większe brawa“.

„Szał“ — wtrącił Dobrdal.

„Słusznie: szał, okrzyki, wywoływania i to nie daj pan swoim ludziom odpocząć, aż się Roland nie zjawi — musi się ukłonić.

Pan mnie zrozumiałeś, panie Dobrdal?

„Możesz pan zupełnie na mnie liczyć, panie Witte“.

„Więc“ — zakończył August, — na razie sprawa załatwiona“.

Dobrdal zrozumiał to. Wypił szybko resztę swego melanżu, powstał, ukłonił się i wyszedł.

„Teraz chciałbym raz wreszcie dowiedzieć się, co to wszystko ma znaczyć“ — rzekł Fred.

„To ci powiem“ — rzekł August.

„Ciekawym“, odrzekł Fred.

Emeryk słuchał uważnie.

„Po pierwsze“ — rzekł August, — nie widzę przyczyny, dlaczegoby „to wszystko“ miało coś znaczyć!“

Emeryk miał zawiedzioną minę. Fred się śmiał.

„A po drugie“ — dodał August szybko, w rozgniewanym tonie — gdybyście wy obaj posiadali wogóle zdolność zastanawiania się nad czemś głęboko, tobyście nie pytali, co to wszystko ma znaczyć.

Nie myślcie, że ja niczego innego nie chciałem jak zwykłego dowcipu na scenie, lecz poza tem kryje się coś więcej, rzekł bym nawet, że coś dobrego, coś rozumnego, jeżeli temu biedakowi zrobimy przyjemność, o jakiej ludzie nawet nie myślą. Wielkim dostaje się dość czci w udziale, lecz nierównie niezbędni są dla sceny i mali“.

„To prawda“, wtrącił Emeryk.

„Dlatego też ma dowcip mój głębsze znaczenie, a gdy dziś wieczorem ludzie się na to bezwątpienia zgodzą, o czem nie wątpię nawet i będą też bili brawa, wówczas wyrządza się bezwiednie, pośrednio przez Rolanda owacyę tym wszystkim, o których zwykle zapominają“.

„Tak, bezwiednie, nie przeczuwając nawet“ — rzekł Fred.

„Tyś przed pięciu minutami także ani przeczuwał, coś ty właściwie za szlachetny człowiek“.

„Emeryk miał słuszność“ — odpowiedział szybko August.

„Emeryk zamyślił się i zastanawiał się nad tem, w czem on właściwie miał słuszność“.

„Że tobie wogóle nie należy niczego opowiadać“ — rzekł August; na co Au-



KURTYNA SIEMIRADZKIEGO.

gust przeraził się i spojrzał na Freda z rodzajem tkliwej serdeczności.

„A wkońcu psujesz człowiekowi tylko humor“ — rzekł August.

„Słowo daję, że Cię nie rozumiem“, rzekł, śmiejąc się Fred. Jesteś oburzony, jak gdybym Cię nie wiedzieć, jak bardzo dotknął. Wszystko, co szlachetne, dzieje się przecie bezwiednie, inaczej nie byłoby wcale szlachetnem. Jeżeli jakiemuś gburowi wpadnie żart jakiś na myśl, to zwykle grubiaństwo.

Jeżeli tobie zaś — to naturalnie czyn dobry.

August popatrzał nań złośliwie.

„A może pozbawisz nas tej ogromnej przyjemności przepędzenia w twem towarzystwie wieczoru?“

„Wcale nie“ — odrzekł Fred naiwnie, „a prócz tego zaprosiłeś mnie przecie na kolacyę z sobą, Emerykiem i Blandini“.

„Zapomniałem“.

„Lecz ja bynajmniej“.

„Czas, byśmy poszli“ — rzekł August.

Zapłacili, opuścili lokal i udali się do teatru. Emeryk spoglądał podczas jazdy to na jednego, to na drugiego i przeczuwał, że tych dwu ludzi jest co do jakiegoś ważnego punktu, zupełnie przeciwnego zdania. A gdy wysiedli z powozu i wstąpili na schody, prowadzące do lóż, zdobył się na odwagę i rzekł: „Dzieci! August nie odpowiedział nic. Lecz Fred uścisnął Emerykowi dłoń i rzekł: „Spróbuję“.

Drzwi loży się rozwarły, a dźwięki uwertury powitały wesoło trzech przyjaciół.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ze świata kinkietów i szminek.

CYKL SYLWETEK

szkicował: Enesmol.

Koniecznie wstęp...

W tym wypadku chyba byłby zupełnie zbyteczny. Wystarcza sam tytuł. Jaki interesujący, ponętny i zaciekawiający!...

Jedna tylko skromna i potulna uwaga od autora: świat kulis, kinkietów i szminek, zdezelowanych nerwów, neurastenicznych efektów, opłacanego patosu i przedrzeźniających uczucie łkań miłosnych, wywołanych skinieniem reżysera a wspomaganych półszeptem znudzonego śmiertelnie suflera, jest bezwątpienia bardzo... bardzo zajmujący, ale uwierzyć chcıejcie... zdaleka!...

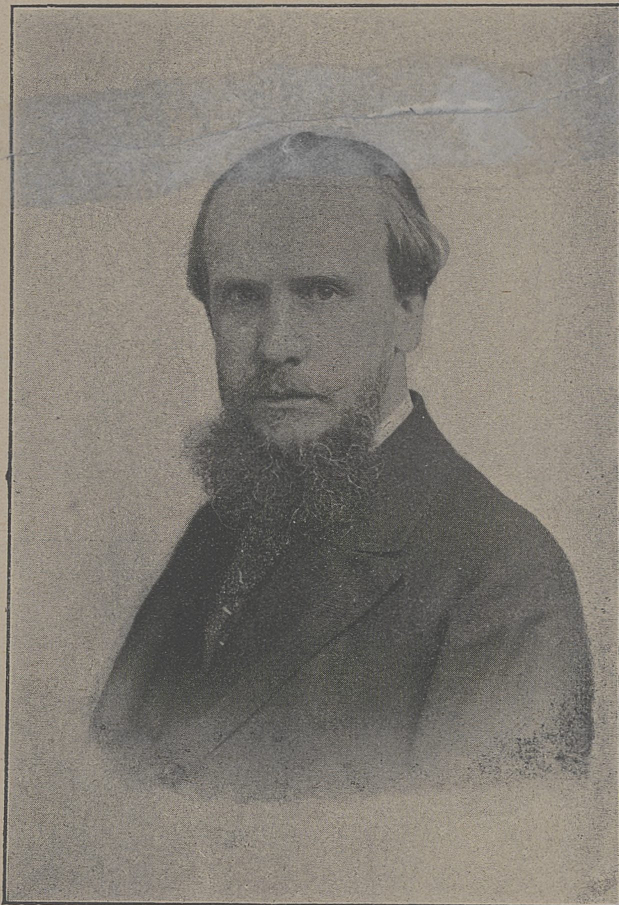
Oglądany i dotykany zblizka denerwuje, zniechęca, odziera bezlitośnie z illuzyi, wywołuje spłowienie fantazyi, strzępienie się pajęczej kanwy złudzeń a w rezultacie sprowadza, jak pieniący się szampan, „kociokwik“ życiowy.

Co jednak... zupełnie nie przeszkadza, żeby osoby i osóbki, stworzenia i stworzonka, żywot swój pędzące w świecie kulis, nie były interesujące.

Owszem.. tylko nie apoteozujcie ich zbytnio, nie przypinajcie im skrzydeł i nie bramujcie w znamiona boskości... a jeśli już tak bardzo zapragniecie je poznać — czytajcie... niżej naszkicowane sylwetki.

Tak dobrze nieraz wierzyć komuś na słowo...

Tadeusz Pawlikowski.



Najidealniejszy dyrektor teatru pod słońcem, o ile się w tym kierunku dobrowolnie nie „urlopuje.“

Jako „osobnik“, jest postacią ogromnie niepospolitą, niedającą się ująć w żaden sposób w ramki psychologiczne typów już gotowych. „Żywot i myśli“ Pawlikowskiego mają w sobie coś z rzymskiego Petroniusza, coś z Sienkiewiczowskiego Płoszowskiego, coś z Fantazego z „Niepoprawnych“, coś z Podfilipskiego (a tak!.) a wszystko to na tle Nietzsche'ańskiego „Übermenscha“.

Usposobienie zamknięte w sobie, nawskróś refleksyjne, silnie uświadomione o swej egzotycznej, przerafinowanie subtelnej wyższości nad całem otoczeniem, skutkiem czego nigdy mu się naprawdę nieodkrywające i patrzące wokół na wszystko z pewnem przymrużeniem ironii. Natura zresztą spokojna, jak toń jeziora, w którego głębi skrył zazdrosny kobold pałace z kryształu, pełne najcudowniej mieniących się blasków, zaczarowanych szmerów, powiewnych nimf o dziwacznych a rozkosznych kształtach i odzywających się z głębi drażniącemi tony rozmamiętniającej kantyleny, niedającej spać filisterskim rybakom życiowym, jak piekielnie kusząca pieśń ponętnej Loreley.

Zawsze interesująco blady, z beznajdziejnie smutnemi i jakby zgaszonemi oczyma. Twarz o bardzo regularnych rysach, okolona u dołu zarostem, rewolucyjnie w dwóch kierunkach ku dołowi się strzępiącym i silnie obecnie po jednej stronie już osrebrzonym. Bajecznie szerokie, ale mimo to harmonijnie sklepione czoło zdradza na pierwszy rzut oka człowieka, umiejącego dobierać sobie z całym przerafinowanym artyzmem środki emocyonujące w życiu. Skronie oskrzydlone z obu boków lekko fałdującemi się włosami o jedwabnym przełysku; reszta włosów nałogowo starannie naczesana w tył głowy, dobrze przerzedzonym zastępem wkracza aż nad czoło charakterystycznym kosmykiem, idealnie zawsze w tył przyczesanym i rozdzielającym głowę na dwie duże, geometrycznie sobie odpowiadające połowy.

Może mieć dzisiaj najwyżej lat 39. Studyował w Lipsku, Halli, Wejmarze i w Dreźnie. W tem ostatniem mieście ukończył konserwatoryum. Muzyki zresztą uczył się bardzo pilnie u Liszta, potem u Galla, którego jest namiętnym wielbicielem. Dyplomów z uniwersytetów zagranicznych nie przywiózł żadnych. Uczył się i uprawiał w życiu zawsze to tylko, do czego miał pociąg i przekonanie. Uwzględniał zawsze tylko sztuki i nauki wyzwolone.

Gdy wrócił ze studyów do kraju, przyszedł mu kaprys być dziennikarzem. Wszedł więc w skład „Nowej Reformy“. Utopił w tym interesie sporo mamony, ale miał tę satysfakcyę, iż fejletony jego, zwłaszcza z teatru, robiły furorę. Równocześnie jednak grawitował całem swem usposobieniem mimozy, głodnem ciągle wrażeń i emocyi, ku teatrowi, póki się wreszcie cały nie oddał pasyi teatralnej.

Od roku 1893, kiedy objął na przeciąg sześciolecia dyrekcyę teatru krakowskiego, żyje tylko sceną i tylko dla sceny. Szlachetny ten sport, którego błogie wprost i nieocenione dla sceny polskiej skutki kiedyś będą sławić wieki, kosztuje Pawlikowskiego do dziś podobno niecałe dwa krocie. Gdy kto z uznaniem wobec niego tę okoliczność podniesie, wówczas „Tadzio“, który na ołtarzu swego życia postawił teatr, uśmiecha się tylko interesująco i jeszcze z większą ironią mruży swe zgaszone oczy. Pewnie myśli w tej chwili o swych rówieśnikach na punkcie urodzenia i majątku, którzy równocześnie puszczali swoje krocie na Monaco, konie i „dyabełka“ w „kasynie końskiem“.

Sam w życiu dla siebie stosunkowo nie wiele potrzebujący, Krezusem rozrzutnym okazuje się wtedy, gdy chodzi o zaspokojenie którejś ze swych arstystycznych zachcianek. Jeśli każdy jest bednarzem beczki swego życia, to artystyczne klepki i obręcze beczki Pawlikowskiego są idealnie pomysłowe, ale i sporo kosztujące. Ale syn rodziców, rozporządzających kilkumilionową fortuną, może sobie pozwolić na to. Posiada nerwy przysłowiowo zdezelowane a mimo to, jak chce Sarnecki w „Kurjerze Warszawskim“, niezwykle wytrzymałe na najmozolniejszą dzienną i nocną pracę. Pali przytem okrutnie mocne cygara, podobno nie używa morfiny i nienawidzi z duszy i serca Ehrenberga, redaktora „Głosu Narodu.“ Kobiety na ogół zajmują go o tyle, o ile zauważy, że która „jest przy urodzie“.

W rozmowie, jeśli ta zdoła go zająć, potrafi się nawet ożywić a wówczas cięte uwagi i aforyzmy, które wypowiada głosem monotonnie mierzonym, aż proszą się o uwiecznienie ich na marmurze. Ma też sławne „swoje powiedzenia“. Tak np. artystkę, która łatwo się powoduje jego uwagami na próbie, na zywa „miękką w pyszczku“, bo dającą się łatwo prowadzić na wędzidłach uwag. Sztukę w którą wystawia. zna zawsze na wylot, prawie na pamięć, sam ją reżyseruje, sam obmyśla aż do najmniejszych szczegółów. Wobec swego personalu niezwykle stanowczy i umiejący bez wrzawy wymuszać posłuch nietylko dla swych uwag, ale i osoby, która budzi podobny strach i szacunek w otoczeniu, jak Cezara w Rzymie.

Na próbie potrafi się ożywić aż do rozgorączkowania. Gdy rzecz już idzie cała po jego myśli, zapada stopniowo znowu w swój nałogowy spleen i na próbie generalnej np. jest już znów niemy, milczący i zagadkowy, jak sfinks.

Z całym pietyzmem wystawia zawsze Ibsena, Maeterlinka i Hauptmana. W Szekspirze słabszy. Lubi archaiczne sztuki nietylko Miravanuxa i Scheridana, ale także Zabłockiego, Bogusławskiego itd. Gdy którą z tych rzeczy wystawi z całą forsą swej scenicznej i wprost olbrzymiej inteligencyi, a publiczność uzna za stosowne przejść nad takim „evenementem“ jego dyrektorskiej działalności do porządku dziennego, wpada we wściekłość i ze zemsty potrafi odwołać najbliższą farsę zaraz po pierwszem przedstawieniu, jeśli „zrobi kasę“ a recenzenci wróżą jej długotrwałe powodzenie. Jako dyrektor teatru, lubi się otaczać dworem i chętnie tu i ówdzie powierza rządy kamaryli dworskiej.

We Lwowie obejmuje dyrekcyę nowego teatru miejskiego wśród wrzawy entuzyastycznych zachwytów, nadziei i rokowań. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że ich nie zawiedzie. Już dziś jest wprost pewnikiem, że stworzy dobrą polską operę a dramat lwowski, zdezelowany ostatnimi kramarskimi rządami, dźwignie znów do tych wyżyn artystycznych, na jakich stał on niegdyś. Ceterum censeo, że lepszy, choćby najbardziej dekadencki i niekiedy „urlopujący“ się w swej działalności dyrektor- artysta, niż najbardziej „krzepkiej“ i młodzieńczej energii dyrektor - kramarz, wyczuwający swe obowiązki i sytuacye tylko nerwem... „przedsiębiorcy“. — Czy nie?...

Maksymilian Węgrzyn.

Ogromnie seryo człowiek w życiu i bardzo komiczny ojciec na scenie. Dyrektor Pawlikowski do dziś jeszcze nie może sobie zdać sprawy, którego z nich dwóch więcej ceni.

Ażeby tedy raz nareszcie rozwiązać tę zawiłą kwestyę, zaangażował obu nawet do Lwowa. Temu „seryo w życiu“ powierzył w nowym teatrze tysiąc urzędów i jeden, temu zaś „komicznemu na scenie“ puścił w pacht wszystkich „charakterystycznych niżej lat 35“.

Pan Maksymilian, rozdwojony w tak zaszczytny dla siebie a zagadkowy (ale i zadziwiający całe swe otoczenie). sposób, spełnia obowiązki jednego i drugiego nad wyraz zawsze sumiennie, zawsze wytrwale, zawsze w kropce.

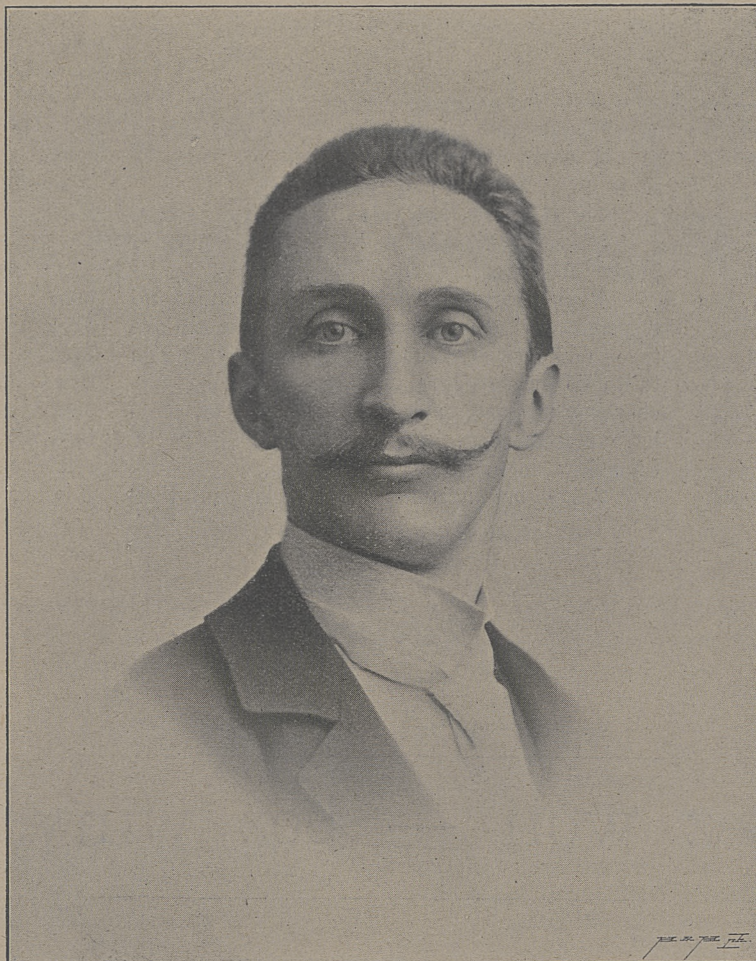
Lat trzynaście jest już aktorem. Debiutował w roku 1887 w Krakowie za dyrekcyi Glicksona. Ale bawił wówczas w Krakowie nie długo. Jakoś się nie mógł tam wtedy zaklimatyzować. Wyjeżdża więc do Królestwa, gdzie prowadzi aż do roku 1893 żywot koczowniczy „artysty prowincyonalnego“. Życie niewesołe... przygód, epizodów i wydarzeń mnóstwo, a sławy z tego i złota, również mamoną marną zwanego, tyle, co pies napłakał. A jednak pan Maksymilian nigdy nie tracił wiary, ani nadziei w swój szczęśliwy los, tylko powtarzał wciąż sobie i drugim:

„Jo anch sono pittore“... co mniej więcej na polskie przetłumaczone znaczy tyle: „a ja przecie jestem... Garrickiem!...“

Że miał racyę, dowód, że Pawlikowski położył mu pewnego razu (P. Czech wydawał wówczas właśnie swój kalendarz krakowski za rok 1892) na ramieniu swą wypieszczoną, ze starannie utrzymanemi paznokietkami, artystyczną rękę i rzekł:

— Maksymilianie, zrobię z ciebie... „ludzi“... !

A że p. Węgrzyn nie miał wówczas nic przeciwko temu, więc zaczął brać się do rzeczy nie na żarty. W swego artystycznego kierownika patrzył, jak w tęczę, niemal jego myśli zgadywał, a że natura talentu mu nie poskąpiła, więc też w randze artystycznej w przeciągu dwóch lat zaawansował tak wysoko, że wszyscy trzej zaprzysięgli recenzenci teatralni krakowscy uważali za stosowne pewnego wieczora złożyć naradę wojenną, skruszyć na niej swe dotąd węgrzynożercze pióra a z nim samym zawrzeć pewnego rodzaju przymierze uznająco-nietykalne, streszczające się w przysłowiu: „noli me tangere“, czyli daj pokój Węgrzynowi.



Pokazało się, że Węgrzyn jest naprawdę tęgim artystą. Dał do tego powód w całym szeregu ról, wykonanych sumiennie z dużem nawet zabarwieniem samodzielnej oryginalności w pojmowaniu kreowanej przez się postaci. Recenzenci krakowscy jednak w czasie sześciolecia, między 1893 a 1899, z charakterystyczną rzadkością dawali temu wyraz w swych „ocenach“. Węgrzyn z tego powodu cierpiał wielce, ale trzymał się dzielnie. Zadawalał się oklaskami publiczności, których miał zawsze podostatkiem i uznaniem dyrektora Pawlikowskiego, które było tak wielkie, iż wyrwało Węgrzyna z pośród nieprzyjaznej mu i zabijającej go po największej części milczeniem atmosfery i poniosło, jako Eliasza na wozie ognistym, żywcem do Lwowa, gdzie go osadziło wśród nowowzniesionych murów teatru lwowskiego w dominującej niemal imperatorskiej roli „maiordoma“ dyrektorskiego.

P. Węgrzyn, nb. wielce wytrawny, wypiera się tego ostatniego szczegółu z zapalczywością i żarliwością żyda, wiozącego duże pieniądze z powrotem do domu z targu, ale wiedzą dobrze artystyczni sąsiedzi, jak on to tam siedzi. Może sobie pozwolić na to tem więcej, że, jako aktor powinien sobie zdobyć powodzenie we Lwowie. Wystarczy go zobaczyć tylko np. w takiej roli Łętowskiego w „Buncie Napierskiego“. Więcej nie trzeba. Genre ról prawie ta sama, co naszego tubylca Kwiatkiewicza. Tyle o p. Węgrzynie, jako o aktorze.

Co do tamtych jego administracyjno-sekretarskich godności, to o tych wolemy już nie wspominać. P. Węgrzyn połączył ich tyle w swych energicznych rękach, że aby je wszystkie dokładnie opisać i wyliczyć, trzebaby co najmniej połowę kałamarza wypisać. A że w ostatnich czasach atrament wskutek wojny z Chinami silnie zdrożał, więc też przez oszczędność i t. d. jak wyżej.

Faustyna Węgrzynowa.

Pozwolicie, że przedstawię: pani Faustyna Węgrzynowa, żona pana Węgrzyna.

Co? — Trochę ją sobie przypominacie?... Tak?.. A to bardzo możliwe.

To trochę nasza znajoma. Przecie tu debiutowała u nas przed czteroma laty, jeśli się nie mylę, w jednoaktówce Derojego „Męki Tantala". Tylko wówczas była jeszcze panną Krycińską.

Jak się udał debiut?... Ano, wcale, wcale... Różnie tam, jak zawsze, „stało po gazetach", ale w rezultacie ogół recenzentów przyznał, że panna Faustyna to „bardzo użyteczna" siła, którą Dyrekcya powinna w szeregach swego personalu stanowczo zatrzymać.

Dlaczego mimoto panna Faustyna pojechała w pół roku potem do Krakowa?...

Oto, trochę dla tego, że ówczesna dyrekcya teatru lwowskiego niewiele sobie ceniła „rady z gazet", a trochę znów dlatego, że panna Faustyna jakoś szczęśliwie wpadła w dyrektorskie oko Pawlikowskiego. Ten zrobił z niej charakterystyczną matkę i tego dziś żałować nie ma powodu. Panna Faustyna, która w r. 1897 w całej rozciągłości stała się panią Węgrzynową, grała mu wszystkie charakterystyczne niżej lat 25 z taką siłą i prawdą, że krytyka krakowska, o ile jej nie negliżowała karygodnem milczeniem, zawsze dla ról jej, nie często się wprawdzie ukazujących, ale zawsze w porządku „kreowanych", była *chapeau bas*.



Że co?.. Że nie słyszeliście nic o tem z gazet z ubiegłego sezonu?... A, to bardzo możliwe, bo pani Węgrzynowa z kamaryllą finansowo-bussinesową dyrekcyi Kotarbińskiego żyła cały ubiegły sezon na stopie wojennej. To też z nazwiskiem pani Faustyny spotkać się wówczas na afiszu było rzadkością. Zwykła przypadłość aktorska, na którą musi nieuleczalnie zapaść każdy aktor i aktorka, jeśli nie powtarza sobie codziennie przy pacierzu:

— „Czcij talent, ale i dyrekcyę swoją, a będziesz dobrze żył i dobrze ci się będzie powodziło na scenie!...

Pani Węgrzynowa „przypadłość" tę przetrzymała mężnem sercem dmuchając w trakcie tego silnie w ognisko rodzinne, przy którem tuliła do swego łona tym razem już nie jako charakterystyczna, ale naprawdę matka, małe bobo płci męzkiej, któremu na chrzcie świętym Stanisław dano.

Jakie ma najznakomitsze role pani Faustyna w swem tableu artystycznem? Dokładnie wyliczyć nie jestem w stanie, ale dużo słyszałem od Krakowian, o przepysznej Jencie z „Małki Schwarzenkopf", o doskonałej hrabinie z „Żydów" Korzeniowskiego, wiem, że „Czas" w swoim czasie całemi fejletonami rozpisywał się o „znakomitej matce dramatycznej", którą pani Węgrzynowa „zrobiła" w Langmana dramacie „Bartel Turaser" itd.

Co?... Jak mi się podoba exterieur pani Faustyny? Pytanie, doprawdy, w kłopot wprowadzające każdego szanującego się gentelmana, gdy ma wyrokować o kobiecie ze wzrostu nie Grażyny, wcale nie pięknej posągowo, nie podbijającej czemś demonicznem w oczach, ani wabiącej skończenie pięknemi kształtami ciała.

Wiem, że pani Faustyna ma do artyzmu doprowadzony dar effektownego zdejmowania się do... fotografii. Wygląda na każdej przepysznie, aż do zakochania. W życiu więcej filigranowa, niż demoniczna, ale ma w sobie dużo kobiecości, tej z Balzacka. Na pozór łagodna blondynka, z szaremi oczyma, o wyrazie sarnim, trochę, jakby znużona życiem i trochę obawiająca się zmarszczek, których lada rok oczekuje. Czasami skarży się na nerwy i każe się domyślać w sobie temperamentu, nb. tego ze sceny. Przeważnie w sukni pomidorowego koloru, pod szyją nosi broszkę z jakimś wyrazem greckim o zawiłym sensie, dotąd w żadnym słowniku nie odszukanym.

Czy wiem co o choreograficznej przeszłości pani Faustyny?... Naturalnie, że wiem!... Między 15-tym a 25-tym rokiem swego życia była cudownem zjawiskiem primaballeriny, zachwycającem kolejno Warszawę, Paryż, Londyn, Medyolan itd. Syta jednak brylantów, wieńców, bukietów itd., sprzeniewierzyła się Terpsychorze, rzucając się w objęcia Thalii i Melpomeny. I miała stanowczo racyę!... Seryo mówię...

(Ciąg dalszy sylwetek nastąpi).



TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).



Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

II.



Miał słuszność ks. Piotr, mówiąc, że jeżeli Parackiemu przeznaczonem żyć, to do trzech dni opzytomnieje. Już na drugi dzień gorączka była mniejsza, chory był bardzo osłabionym tak, że nie zdawał sobie sprawy z położenia, ale młodość i staranie kobiet, osobliwie Anny, która przez trzy dni i noce nie odstąpiła jego łoża, sprawiły, że czwartego dnia, 26. czerwca, można było już napewne powiedzieć, że wyzdrowieje: ksiądz pleban zacierał ręce, mówiąc, że Bóg wysłuchał jego modlitwy i ciesząc się, że zasięgnie pewnego języka o konfederatach. W okolicznych dworach także przechowywano kilku rannych, a wszyscy wypytywali się i mówili ciągle w malignie o pułkowniku. Ksiądz Piotr wiedział o nazwisku gościa Lackiej.

Było to w południe 26. czerwca. Ranny, odwrócony do ściany, spał spokojnie, regularnie oddechając. Obok, przy otwartem oknie, przez które wpadało miłe, łagodne powietrze, okraszone zapachem lip i świeżego siana, siedziała Anna, robiąc na kanwie wzorek jakiś. Odłożyła, jakby tknięta czemś, robotę, i popatrzała na twarz wojaka, który przed chwilą odwrócił się na pokój i leżał z przymkniętemi oczyma. Potem westchnął i kilka razy otworzył powieki, szepcząc zcicha:

„Matko Boska! Jezu Chryste! gdzie ja jestem, gdzie moi? Czuję ból".

Anna uradowana, jako opiekunka rannego, oddawna oczekując tej chwili, wstała i przystąpiwszy do niego, położyła mu

rękę na głowie leciutko i miękko, jak tylko kobieta umie:

„Leż waćpan cicho“, rzekła. „Byłeś pan pod Lanckoroną, na czele konfederatów, niedobrzy ludzie ranili go w głowę i piersi. Ale to nic, to przeminęło, jesteś waćpan teraz w mojej, w naszej, poprawiła się, opiece. Modlimy się za waćpanem do Matki Boskiej“.

„Kto panna“, wyjąkał chory, z pod powiek na nią patrząc.

„Polka — tak, jak i waćpan“.

Paracki, jakby czekał tylko tego, pochwycił jej rękę i z trudnością do ust podnosząc, ucałował ją.

W tej chwili do pokoju weszła pani Lacka a Anna, jak ptaszek spłoszony zarumieniona, zerwała się, chcąc ukryć wzruszenie i rzekła do niej z nietajoną radością:

„Babcio! Pan pułkownik będzie zdrów, pan pułkownik rozmawiał ze mną, pytał mnie się, gdzie jest.“ Pani Lacka niemniej była uradowaną, choć w inny sposób, jak każdy człowiek, gdy bliźniego widzi uratowanego od śmierci. Zresztą staruszka, w dzień będąc przy gospodarstwie, nie wiele chwil spędzała przy chorym, w nocy zaś chętnie udawała się zmęczona na spoczynek, pozostawiając dozór od rannym Jaśkowi i Annie. Jasiek z nieustanną gorliwością stał przy drzwiach, gotów na każde skinienie panienki; sprawiało mu to przyjemność, że wyróżniał się nad swoich towarzyszów, którzy cały dzień „przy kobyłach“, jak mówił, robili. Pani Lacka więc cieszyła się na wiadomość, udzieloną przez wnuczkę i twarz jej rozjaśniła się na chwilę. Co innego Anna. Anna, jak każdy opiekun, przebywała razem z nim niemoc śledząc jej wzrastanie w rysach twarzy Parackiego i będąc świadkiem całego jej przebiegu. Teraz więc, gdy według zdania ks. Piotra w tydzień mógł wstać, wiedziała, że po Bogu to jej dzieło i cieszyła się niewymownie.

Wkrótce właśnie przyjechał ksiądz Piotr. Starowina aż łzy miał w oczach, gdy, dowiedziawszy się, co zaszło, przystąpił do pułkownika, a ten zupełnie przytomnie patrząc i prawie wesoło, ucałował mu dłoń, mówiąc przerywanym głosem:

„I ciebie, ojcze, widziałem“

Pleban obawiał się, czy może źle w czem z chorym nie postąpił i czy nie trzeba będzie sprowadzać z miasta głupiego moskala chirurga, który niebardzo pewnym byłby sprzymierzeńcem dla Lackich i ich gościa, dlatego też nie było granic jego radości. Kazał podać węgrzyna, mówiąc gospodyni, że będzie musiała odżałować go teraz i dla zdrowych, będą bowiem pić na zdrowie pułkownika. Przyniesiono jeszcze jednę butelczynę, o której pani Lacka powiedziała, iż jest ostatnia i dlatego trzeba ją oszczędzać dla rannego i ksiądz nalał sobie kieliszek. Gdy chciał go spełnić z zapowiedzianym toastem, Paracki dał znak ręką. Anna w lot pobiegła ku niemu, ale ksiądz ją uprzedził i schylił się nad nim:

„Najpierw ojcze zdrowie tej panienki — jak jej na imię? — zapytał zcicha—potem twoje i gospodyni. Nad mojem Bóg się zlituje.“

„Anna, odparł równie cicho ksiądz a potem, podniósłszy się, wychylił kieliszek, mówiąc: „Na zdrowie panny Anny, opiekunki pana pułkownika“.

Anna zarumieniła się i odwróciła się na chwilkę ku oknu, wnet jednak patrząc śmiało na obecnych, rzekła: „Dziękuję ojcu! Ale możeby panu Parackiemu podać na pokrzepienie polewkę winną, albo coś takiego“.

„Doskonale!“ rzekł ks. Piotr „waćpanna masz o wszystkiem najlepszą pamięć. Zrób więc, coś mówiła“. Od tego dnia chory przychodził z zadziwiającą szybkością do sił i zdrowia. Przez kilka dni następnych majaczył wprawdzie jeszcze chwilami wieczór, lub w nocy, ale były to tylko lekkie sny gorączkowe. Natomiast każdego dnia budził się zdrowszym a sprawiała to kuracya ks Piotra, który polecał przedewszystkiem winne polewki.

Anna przez cały dzień nie opuszczała Parackiego. Siedziała przy nim i rozmawiali oboje wesoło. On, ile razy o wyzdrowieniu mowa była, wzdychał ciężko, życząc sobie, aby to jak najprędzej się stało. Panna Anna, patrząc na niego niebieskiemi oczyma, dawała mu do poznania, że życzy mu tego z całego serca. Mówił jej, że nieskończone dzieło powołuje go do Warszawy, gdzie czeka nań dalsza walka, już to w szeregach, już to z niecnymi zamiarami trzech wrogów. Wśród takich rozmów minął tydzień. Gdy nadeszła niedziela, pułkownik wyjawił chęć wyjścia na świat boży. Na razie sprzeciwił się i ksiądz Piotr i panna Anna, ale gdy chory oznajmił, że czuje się już na siłach a zresztą nie ma czasu na długie leżenie, zgodzono się na przejście się kilkakrotne po ogrodzie, który domek otaczał. Gdy Paracki oglądnął się za ubraniem swojem wojskowem, Jaśko, którego pani Lacka pozostawiła mu do pomocy, a który całą duszą przylgnął do wojaka, wyciągnął z szafy płócienny ubiór: szerokie szarawary i letnią kapotę z kolorowego samodziałku.

—O jak to nasza panna pamiętała! Już przed tygodniem kazała Abrahamowi wziąć miarę i zrobić dla Jasnego panicza taki krasny przyodziewek.“

Paracki był niezmiernie ucieszony z tej niespodzianki. Przy ubieraniu pokazało się, że w samej rzeczy był już na siłach, w kilka minut bowiem, prawie bez pomocy Jaśka przyodział się i wsparty na jego ramieniu wyszedł przed dworek. Tu koło stołu, przed lipą ustawionego, krzątała się Anna, przygotowując do obiadu. Oboje spojrzeli na siebie długo i przeciągle, jakby się po raz pierwszy widzieli. Cierpiący na posłaniu człowiek, w półcieniu leżący, nie był podobnym do tego dziarskiego młodzieńca, wchodzącego w wiek męski, którego pięknej twarzy wiele uroku dodawała długa blizna na lewym policzku. Paracki przedstawiał się teraz na wzór wszystkich naszych ojców, którzy już przebyli chrzest krwi w boju za ojczyznę. Średniego wzrostu, o czarnych, kruczych włosach, które mu spadały na wysokie czoło, o czarnym wąsiku zakręconym z pewną dbałością ponad zaciętemi zlekka ustami, o ciemnych żywych oczach, wydawał się młodej dziewczynie zupełnie inszym, a wrażenie, jakie odniosła, było bezwzględnie korzystne dla Parackiego. Zupełnie tak samo było z pułkownikiem: cierpliwa siostra miłosierdzia, która miękką dłonią poprawiała mu bandaże na głowie, nie zrzędząc ni w dzień, ni w nocy, teraz w tej postaci wiotkiej dzieweczki zupełnie odmienne robiła wrażenie: tamtą można było podziwiać za cierpliwość, tę tylko kochać i uznać panią swych myśli.

Po chwili obopólnego podziwu, Paracki, gdy zbliżył się ku Annie, która śmiejąc się wesoło patrzyła na niego, zdjął konfederatkę z głowy i nisko się skłonił:

„Zdrowy Paracki przyszedł panience wyrazić najszczersze dzięki za pomoc udzieloną rannemu“.

„Waćpan, panie pułkowniku“, odrzekła zarumieniona lekko Anna, po chwili namysłu—„powinien najpierw podziękować panu Bogu, a potem Babuni. Ona to przecież przyjęła Waćpana w dom swój“.

„Jej to osobno, a Waćpannie osobno za pieczę“, rzekł grzecznie Paracki, składając na jej drobnej rączce przeciągły, szczery całus.

W tej chwili od strony ogrodu warzywnego nadeszła pani Lacka, a gdy zobaczyła na dworze, na świeżem powietrzu pułkownika, przyspieszyła kroku:

„Winszujemy, winszujemy, waszeci“, zawołała zdaleka, kiwając głową. Paracki żywo posunął się do niej i całując w rękę, dziękował za gościnność. „Nie długo będę ja jej nadużywał, zakończył, tydzień jeszcze odpocznę, a jak można będzie na koń siąść, to w drogę do Warszawy“.

Paracki tego dnia jadł obiad razem z paniami, zupełnie, jakby zdrów był, to sypiąc szczere grzeczności obu gospodyniom, to usługując Annie. Po obiedzie rozmawiał czas jakiś, ale na jeden dzień zadużo tego było i zrobiło mu się nagle źle. Jednak kieliszek wina pokrzepił go i od tego czasu mógł się uważać za zdrowego.

Minął tydzień. Wieczorem przy kolacyi siedziały trzy osoby pod lipą. Dwoje młodych, Władysław Paracki i Anna, już innem okiem patrzyło na siebie; tydzień wspólnie przeżyty, pozwolił im poznać skłonność ich. Paracki wiedział, co w jego sercu, ale, czy zdawała sobie sprawę z tego Anna?

Taraz Paracki opowiadał kobietom dzieje bitwy pod Lanckoroną.

„Ja stałem pod samym lasem“, kończył. „Koło mnie dzielni towarzysze, bili się, jak lwy, ale nadaremnie, liczba ich z każdem mgnieniem oka się zmniejszała. Było nas może jeszcze ze czterystu. Spojrzałem na tyły. Gęste drzewa zasłaniały widok, ale przypuszczałem, że bezpieczniej uciekać, niż wystawiać się na widoczną śmierć. Zwracając konia nagle, zawołałem: „Jezus, Marya, za mną. Pułaski wraca!“ Udało mi się zwieść swoich i cudzych. Rzucili się za mną, ale miasto Puławskiego, który stał pod Zamościem, wpadł nam na kark oddział Moskali niewielki. Padłem na ziemię pierwszy, zalany krwią. Jak tam było, nie wiem, musieli sobie dać radę, bo Moskali nie wielu było, a ja otworzyłem oczy dopiero u miłościwych państwa, aby zobaczyć pannę Annę“, przy tych słowach spojrzał na Annę. Pani Lacka właśnie odeszła do dozorowania gospodarstwa i bydła, wracającego z pola, zostawiając oboje młodych samych na ławce.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Bertold Menkes.

Krytyka czy reporterka teatralna.

Powiada Nietzsche:

„Schlamm liegt auf euerer Seele, doch wehe, wenn dieser Schlamm Geist hat!“

Słowa te stanowią najlepsze uzewnętrznienie zapatrywania, które żywię względem kasty „reporterów teatralnych“, panoszącej się w murach, poświęconych Sztuce w rozmaitych jej przejawach.

Że też taka apatya panuje w społeczeństwie wobec tego zła, które wszyscy skłonni są potwierdzić, nie przestając go mimo to uważać za „malum necesarium“!

Sądzę tedy, iż zmusić należy przedewszystkiem czytelnika, aby nie zadawalał się byle jaką pisaniną pseudo-krytyczną, aby sam znowu zmuszał reprezentacyę „opinii publicznej“ do dobierania sobie niebylejakich sprawozdawców.

Niechby potem odważył się taki Edmund Goncourt pod adresem publiczności zaadresować uszczypliwe słowa, jak te w przedmowie do powieści „Cherie“:

„Nie mówmy o publiczności; niema jej co brać w rachubę! Co lat kilkadziesiąt przychodzi jeden, dwóch ludzi z indywidualnością, biorą publiczność za łeb i każą jej wierzyć w to, co sami chcą“.

Miałby się taki z pyszna, gdyby.... gdyby czytelnik był rzeczywiście innym, mniej apatycznym, a więcej wybrednym, jak dotychczas.

Przedewszystkiem więc nie powinno się tolerować *reporterki teatralnej*. To najważniejszy postulat. Rozwielmożniła się tą wada tak dalece, iż ludzie nic zdrożnego w tem się nie dopatrują. że reporter wprost z sali sądowej, lub zgromadzenia ludowego idzie do teatru, zasiada majestatycznie na fotelu redakcyjnym i owiany oparami kadzidlanymi rzekomej swej wielkości wydaje sądy o... sztuce. He, he, — powiedziałby pan Przybyszewski.

Ależ, na miły Bóg, jakżeż może wówczas ten sąd o sztuce wypaść!

Chacun fait la théorie de son talent... A zdolności takiego pana kulminują w najlepszym razie w dokładnem i interesująco napisanem streszczeniu mowy obrońcy karnego lub kandydata na posła.

To stanowczo za mała kwalifikacya na... referenta w sprawach sztuki.

I cóż zwykle taki pan robi? Dokładnie streszcza przebieg akcyi dramatycznej, spłaszczając i banalizując po większej części efekt, wydobywany przez autora na scenie. Ale to byłoby — jak powiadają — pół biedy; dokładne podanie treści tak dalece nie szkodzi.

Fatalną atoli wadą takiego reportera teatralnego jest chęć „rozinteresowania czytelnika“. Sypie wówczas jak z rękawa dowcipkami, pstrzy swe wywody „subtelnościami stylistycznemi“ i operuje niedomówieniami, lub staje się „nastrojowcem“. Niezdolny do bezpośredniego uzewnętrznienia swych myśli, zapożycza u rozmaitych firm literackich mnóstwo obrazów, przenośni, sposób wystawiania się i oblewa to wszystko tanim sosem rzekomej nastrojowości...

Inni znowu udają filozofów, estetyków, psychologów, choć rozumieją się na tem, jak... — lepiej nie kończyć! Wówczas nicują, wertują, analizują mikroskopijnie to, co z rzeczy samej analizy nie znosi. Boć przecież krytyka, zwłaszcza teatralna, winna być na wskroś syntetyczna. Każdy utwór dramatyczny sam w sobie nosi bądźto zarodki życia, bądź chorobotwórcze i śmiercionośne bakterye. Sama publiczność je wyczuć powinna. Natomiast analizować, przepuszczać przez filtr drobnoustrojowej krytyczki — to kramikarstwo słowami. Tylko synteza, zebranie myśli przewodniej, wytyczenie kierunku fali ideowej dramatu, wspomożenia w tej pracy psychicznej przeciętego czytelnika, może być i powinno być zadaniem krytyka.

Najbardziej atoli grzesznym jest ten sprawozdawca teatralny, (stanowią oni niestety większość krytyków muzycznych), który bez krzty indywidualności, bez samodzielności w powzięciu sądu, karmi czytelnika oklepankami, kilkudziesięciu frazesami, starymi jak świat i ogranymi jak katarynka.

I jakąż ma gwarancyę czytelnik, iż to, co krytyk — *pośrednik* duchowy między nim a teatrem — napisze o jakiemś dziele, choć w przybliżeniu jest prawdopodobnem?

Niestety żadną...

Nie myślę w tej chwili rozwieść się nad istotą krytyki *twórczej*, którą przeciwstawiam zwyż opisanej krytyce reporterskiej. Konstatuję tylko, że czas zerwać z dotychczasowym sposobem informowania publiczności o tem, co się w teatrze dzieje.

Mury teatru miejskiego witają nową dyrekcyę, świeżo pod jej sztandar się zaciągającą drużynę artystyczną, tłumy publiczności. Brak tylko artystycznej, twórczej krytyki.

Czyż i nadal tchnąć ma tonem reporterskim?..



Nasze kresy.

— Bukowina, jak donieśliśmy w ostatnim zeszycie „Tygodnika“, ciężką, niepowetowaną poniosła stratę przez skon dr. Stefana Stefanowicza, którego portret zamieszczamy tutaj.



Młody ten, bo zaledwie 46 lat życia liczący mąż stanu był przez szereg lat motorem i duszą życia politycznego w tym kraju i śmiało rzec można, iż na wszystkie sprawy publiczne wywierał wpływ decydujący. Kształcony za granicą, stał się na Bukowinie, na owym progu Wschodu, gdzie stykają się dwie cywilizacye, przedstawicielem i rzecznikiem kultury zachodniej, a jako znakomity ekonomista wywołał, bądź za pośrednictwem rządu, bądź Sejmu, bądź wreszcie przez przedsiębiorstwa prywatne, które powoływał do życia, — ruch w kierunku przemysłowym, o jakim przedtem nie marzono. Pamiętnemi są jego przemówienia o nędzy ludności w Galicyi wschodniej i na Bukowinie, wygłaszane w Radzie państwa, a nie mniejsze wrażenie sprawiły jego mowy w Sejmie bukowińskim, dotyczące szkół fachowych, przemysłu rolnego, kolei lokalnych, przemysłu cukrowniczego itd.

Z wychowania Niemiec, nie zaparł się jednak ojcowskiej krwi polskiej i — nie władając dobrze mową polską — zaliczał się zawsze do społeczeństwa naszego. Z ramienia obozu ormiańsko-polskiego posłował do Rady państwa i do Sejmu, gdzie piastował godność prezesa klubu ormiańsko-polskiego. W polityce był konserwatywnym autonomistą i zwolennikiem sojuszu Polaków z Rusinami bukowińskimi, dla których też czynił bardzo wiele. On właściwie zgniótł hegemonię bojarów rumuńskich w kraju i jemu należy zawdzięczać pewne uwzględnianie przez rząd narodowych mniejszości.

Instytucye polskie na Bukowinie miały w Stefanowiczu hojnego dobrodzieja, a wyznanie katolickie wielce gorliwego opiekuna. W dobroczynności na cele publiczne nie miał sobie równego i zarówno bursa ormiańsko-katolicka w Czerniowcach, jak *Gazeta Polska* i wiele innych instytucyj jemu w znacznej mierze mają do zawdzięczenia swój rozwój.

Ojciec św. odszczególnił śp. Stefanowicza orderem św. Grzegorza, a cesarz nadał mu krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa.

Zmarł w Meranie, skąd 5. bm. sprowadzono zwłoki do Czerniowiec, a stąd dnia następnego do Bojan, gdzie zostały złożone w grobowcu rodzinnym.

Wiadomości bieżące.

✕ **Jubileusz Sienkiewicza** zarysowuje się wspaniale pod względem materyalnym. Posiedzenie komitetu jubileuszowego pod przewodnictwem J. E. biskupa Ruszkowskiego wykazało, iż zebrano 70.315 rubli, z których wydano na Oblęgorek 51.249. Przedwstępne roboty przy budowie domu są w to wliczone także, do rozporządzenia pozostaje jeszcze suma około 20-stu tysięcy rubli. Nadmienić należy, iż wszystkie listy nie zostały jeszcze zwrócone i dużo wpłynęło ofert osób, które pragną bezinteresownie dostarczać materyałów, lub wykonywać roboty przy urządzaniu dworu w Oblęgorku. Program dnia jubileuszowego już jest ułożony — mianowicie: Nabożeństwo, złożenie aktu darowizny w ratuszu i zakończenie dnia przedstawieniem jubileuszowem w teatrze Wielkim. Do ułożenia tego przedstawienia powołano panów Eysmonta, Gawalewicza, Lubowskiego i Wieniawskiego.

✕ **Wędrowny teatr ludowy.** Maryan Gawalewicz, który z takiem zaparciem się siebie i z całem zamiłowaniem pracuje obecnie nad kierowaniem sceny ludowej w Warszawie, przywiózł do Lwowa memoryał o urządzeniu teatru ludowego, który wygotował na żądanie Wydziału krajowego. Miejmy nadzieję, że wreszcie kraj zajmie się sprawą ludowej sceny i zrobi to choćby, co zrobiono w Warszawie, gdzie teatr ludowy wydał tak wspaniałe rezultaty.

✕ **Unio Catholica.** Pod taką nazwą istniejące od lat szeregu Towarzystwo asekuracyjne utworzyło Reprezentacyę na Galicyę we Lwowie. Lokal Towarzystwa poświęcił uroczyczyście ubiegłej niedzieli ks. arcybiskup Issakowicz.

Czysty zysk z przedsiębiorstwa bywa obracanym na budowę kościołów katolickich. Towarzystwo posiada filię w Czerniowcach.

✕ **Wystawa sadownicza.** Dnia 5. bm. otwarto uroczyście krajową wystawę płodów sadowniczych. Na otwarcie przybyli marszałek Badeni, burmistrz pragski Serb, prezydent Małachowski, starszy radca Hild w zastępstwie namiestnika i w. i. Przemawiał bar. Brückman

z Monasterzysk, a przemówienie swoje zakończył trzykrotnym okrzykiem na cześć cesarza.

Sama wystawa przedstawia się bardzo okazale. Obesłało ją przeszło 150 wystawców z rozmaitych powiatów wschodniej Galicyi. Obok zbiorowych wystaw rozmaitych gmin i całych powiatów najwięcej miejsca zabrały okazy owoców i przerobów owocowych spółki owocarskiej „Nadwórna“. Obok rozmaitych specyalnych przyrządów, używanych w przemyśle owocarskim, jak prasa do wyciskania soku, grzebień do zbierania ofin, znajduje się nader bogata kolekcya prześlicznych owoców, są tam nawet wcale dobre winogrona z okolic Nadwórny — i rozmaitych preparatów owocowych, jak kandyzy, konfitury i nalewki. Z tych ostatnich na szczególniejszą zasługują uwagę nalewki pożeczkowe, malinowe itp.

Dowody ogromnej pracy i wytrwałości złożył p. Jan Marcinkow z Sołotwiny Mizuńskiej, który formalnie wykuł swój ogród w skale na wysokości 620 metrów. Jego nalewka na miodzie i sam miód słyną już od dawna ze swojej dobroci, a na obecnej wystawie zajmują bezsprzecznie jedno z pierwszych miejsc wśród tego rodzaju produktów.

P. Emil Mentzel, ogrodnik z Dublan obok rozmaitych ładnych preparatów i owoców, wystawił ładną kolekcyę suszonych jarzyn i owoców. Koperek i szpinak zachowane są doskonale. Mimo suszenia, nie tracą nic na swym zapachu i kolorze, co zdaje się zapewniać metodzie p. Mentzla wcale ładną przyszłość.

W dziale owocowym odznacza się przedewszystkiem p. Klimowicz ze Lwowa, którego owoce i prześliczne winogrona zwracają na się powszechną uwagę.

Obok owoców p. Klimowicza zasługują na uwagę owoce z ogrodów bar. Brunickiego w Podhorcach pod Stryjem, Spółki kolekcyjnej, dra Pawlikowskiego z Medyki, Skrzyńskiego, Harwota i Ign. Kupetza, obu z Przemyśla, hr. Lanckorońskiego z Rozdołu, nauczycieli z pow. Trembowelskiego, hr. Potockiego z Łańcuta, Piątkowskiego ze Lwowa, szkoły ogrodniczej w Tarnowie i w. i.

W dziale nalewkowym, co do liczby produktów pierwsze miejsce zajął p. Muszyński ze Lwowa. P. Gerstenfeld ze Zniesienia, wystawił ładną kolekcyę octów.

W ogóle wystawa przedstawia się bardzo pięknie, a publiczność lwowska znajdzie na niej wiele godnych widzenia rzeczy. Jedno tylko można jej zarzucić — a to przeciągi. Tu jednak zawinił magistrat, który mimo usilnych próśb komitetu, nie kazał powstawiać szyb w powybijanych oknach w hali muzycznej.

NADESŁANE.

DROBNE OGŁOSZENIA.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.**
Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.